



Raymond Radiguet

---

OPETANIE



## 120

*Opętanie* — to spowiedź szesnastoletniego chłopca, przedwcześnie dojrzałego w czasie wojny (pierwszej światowej), a jednocześnie pozostającego nadal dzieckiem. Opowiada on swój romans z niewiele starszą żoną żołnierza, walczącego na froncie. Uczucie to przechodzi wszelkie stadia i zawiłości serca — od prowokacji i manipulacji miłosnej po naiwną prostotę i spontaniczną niewinność, od żarliwej wielkoduszności po chłodne wyrachowanie, od przebiegów dojrzałości po infantylny egoizm i nieodpowiedzialność. Rzekomo niemoralny, utwór ten wywoływał oburzenie, zwłaszcza że pomyślany był jako świadoma przeciwwaga dla licznych wówczas powieści wojennych. Dziś budzi podziw prostotą formy i mistrzowskimi wizerunkami bohaterów.

Według tej powieści powstał film *Diabeł wcielony* (reż. C. Autant-Lara), w którym grał Gérard Philipe.



Raymond Radiguet

# Opętanie

Przełożyła

KRYSTYNA DOLATOWSKA

Książka i Wiedza. 1989

Tytuł oryginału Le diable au corps

Ilustracje na okładce i stronie tytułowej

JERZY ROZWADOWSKI

Redaktor techniczny

ANNA BONISŁAWSKA

Korektor

AGNIESZKA SZAJKOWSKA

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”

Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza

„Prasa-Książka-Ruch” -

Warszawa, sierpień 1989 r.

Wydanie III Nakład 139650 + 350 egz.

Obj, ark, wyd. 4,7 Obj, ark, druk. 10

Papier offset kl V, 70 g, rola 70 cm

Oddano do składania w listopadzie 1988 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1989 r.

Druk ukończono w sierpniu 1989 r.

Druk i oprawę wykonały

RSW „Prasa-Książka-Ruch”

Zakłady Graficzne

Piła ul. Okrzei 5

Zam, nr 2306/88 A-.89 .

*Dwanaście tysięcy dziewięćset pięćdziesiąta czwarta publikacja  
„KiW”*

ISBN 83-05-12113-5

Narażę się na wiele zarzutów. Cóż jednak poradzę? Czy to moja wina, że na parę miesięcy przed wybuchem wojny skończyłem dwanaście lat? Zapewne w normalnych czasach nie miewa się w tym wieku przeżyć, jakie mnie przyniósł ten niezwykle okres; ponieważ jednak nie ma takiej siły, która by, wbrew pozorom, posunęła nas w latach, miałem zachować się jak dziecko w sytuacji, która i dla dorosłego mężczyzny byłaby trudna do rozwiązania. I nie tylko ja jeden. Moim kolegom również zostanie o tym okresie wspomnienie inne niż ludziom od nich starszym. Niechaj ci, co mają mi to za złe, spróbują wyobrazić sobie, czym była wojna dla tylu bardzo młodych chłopców: czterema latami wakacji.

Mieszkaliśmy w F. nad Marną.

Rodzice moi byli raczej przeciwni koleżeńskiemu współżyciu chłopców i dziewcząt. Podsycalo to, zamiast uciszać, zmysłowość, która przychodzi na świat razem z nami i objawia się, ślepa jeszcze.

Nigdy nie byłem marzycielem. To, co innym, bardziej łatwowiernym, wydaje się marzeniem, dla mnie było równie rzeczywiste jak ser dla kota, mimo szklanego klosza. Jednak klosz istnieje. Kiedy się stłucze, kot z tego korzysta, nawet jeżeli to własny jego pan go stłukł i pokaleczył przy tym ręce.

Nie przypominam sobie, bym od lat dwunastu kochał się w kimkolwiek, prócz pewnej dziewczynki, imieniem Carmen, której za pośrednictwem młodszego kolegi przesłałem list z wyznaniem miłości. Uważałem, że miłość upoważnia mnie, by prosić o spotkanie. List został jej doręczony rano, przed rozpoczęciem lekcji. Wyróżniłem tę jedną jedyną dziewczynkę, gdyż łączyło nas pewne podobieństwo, była czysta i chodziła do szkoły razem z młodszą siostrą, tak jak ja z moim młodszym bratem. Aby tych dwoje świadków zachowało milczenie, postanowiłem ich skojarzyć. Do mego listu dołączyłem więc list w imieniu brata, który nie umiał jeszcze pisać, do panny Fauvette. Bratu wytłumaczyłem moje pośrednictwo i to, że mieliśmy wyjątkowe szczęście trafiając akurat na dwie siostry w naszym wieku i o tak niezwykłych imionach. Kiedy po drugim śniadaniu zjedzonym z rodzicami, którzy mnie rozpieszczali i nie gniewali się na mnie nigdy, wróciłem do szkoły, miałem możliwość

przekonać się ze smutkiem, iż mój Sąd o Carmen okazał się słuszny: była to rzeczywiście przykładna dziewczynka.

Ledwo koledzy zdążyli usiąść w ławkach — ja, jako prymus, przykucnąłem właśnie przed szafą ścienną, żeby wyjąć książki do głośnego czytania — wszedł dyrektor. Uczniowie wstali. Dyrektor trzymał w ręku jakiś list. Nogi się pode mną ugięły, książki wypadły mi z rąk, schyliłem się, by je pozbiierać, a tymczasem dyrektor rozmawiał z nauczycielem. Uczniowie z pierwszych ławek odwracali się już do mnie, purpurowego, w głębi klasy, bo słyszeli wymieniane szeptem moje nazwisko. Wreszcie dyrektor przywołał mnie i chcąc ukarać w sposób subtelny, nie budząc przy tym, jak sądził, żadnych niewłaściwych podejrzeń wśród uczniów, pogratulował mi, że napisałem list, gdzie na dwunastu liniijkach nie zrobiłem ani jednego błędu. Zapytał, czy napisałem go sam, a później poprosił, żebym poszedł za nim do gabinetu. Nie poszliśmy tam wcale. Wypalił mi reprimendę na podwórzcu, pośród ulewnego deszczu. Dużym wstrząsem dla moich pojęć moralnych był fakt, że za równie poważną przewinę uważał to, iż skompromitowałem młodszą panienkę (której rodzice przekazali mu moje wyznanie miłosne), jak to, że ściągnąłem arkusz papieru listowego. Zagroził mi, że prześle ten list

moim rodzicom. Zacząłem błagać, by tego nie robił. Ustąpił, ale powiedział, że go zachowa i gdyby powtórzyło się coś podobnego, nie będzie mógł dłużej ukrywać moich wybryków.

Mieszanina zuchwałości i nieśmiałości w moim zachowaniu wywodziła zawsze w pole moich najbliższych; tak samo jak łatwość, z jaką przyswajałem sobie wiadomości, kryjąca w gruncie rzeczy lenistwo, sprawiała, że uchodziłem w szkole za dobrego ucznia.

Wróciłem do klasy. Profesor nazwał mnie ironicznie Don Juanem. Niezmiernie mi to pochlebilo, zwłaszcza że przytoczył tytuł książki, którą znałem, a której moi koledzy nie znali. Jego: „Dzień dobry, Don Juanie!”, i mój porozumiewawczy uśmiech zmieniły od razu stosunek klasy do mnie. Może zresztą chłopcy wiedzieli już, że poleciłem malcowi z młodszej klasy zanieść list do jednej z „dziewuch”, jak się to mówi w twardym języku uczniowskim. Ten malec nazywał się Messenger; nie wybierałem go specjalnie ze względu na nazwisko, ale wzbudziło ono we mnie jednak pewne zaufanie\*.

\* Messenger znaczy wysłannik. (*Przyp. Hum.*)

O pierwszej błagałem dyrektora, żeby nic nie mówił memu ojcu; o czwartej korciło mnie, żeby mu wszystko opowiedzieć. Nic mnie do tego nie zmuszało. Zapisalbym to wyznanie raczej na konto



szczerości. Wiedząc, że ojciec nie będzie się na mnie gniewać, byłem w gruncie rzeczy uszczęśliwiony, że dowie się o moim wyczynie.

Przyznałem się więc i dodałem z dumą, że dyrektor przyrzekł mi całkowitą dyskrecję (jakbym był dorosłą osobą). Ojciec chciał się przekonać, czy nie wyssałem z palca całej tej historii. Poszedł do dyrektora. W trakcie wizyty wspomniał mimochodem o tym, co uważał jedynie za żart. „Jak to? — zapytał wówczas dyrektor, niemile zaskoczony. — Opowiedział panu o tym? Mnie błagał, żebym nie panu nie mówił, bo go pan zabije”.

Dyrektor chciał usprawiedliwić się tym kłamstwem, a ja poczułem się dzięki niemu jeszcze bardziej mężczyzną. Za jednym zamachem zyskałem szacunek kolegów i porozumiewawcze spojrzenie nauczyciela. Dyrektor nie dawał poznać po sobie urazy, jaką czuł do mnie. Biedak nie wiedział jeszcze o tym, o czym ja już wiedziałem: ojciec, zgorzony jego postępowaniem, postanowił, że tylko do końca roku zostanę w tej szkole. Był początek czerwca. Moja matka, nie chcąc, by ta decyzja wpłynęła ujemnie na moje odznaczenia i laury, powstrzymała się z wyjawieniem jej aż do rozdania nagród. W dniu tym dzięki niesprawiedliwości dyrektora, który lękał się niejasno skutków swego kłamstwa, ja jeden w klasie otrzymałem złoty wieńiec, na który zasługiwał również inny chłopiec,

wzorowy uczeń. Zła kalkulacja: szkoła straciła przez nią dwóch najlepszych wychowanków, gdyż ojciec tamtego odebrał go także.

Tacy uczniowie jak my służyli za przynętę dla innych.

Matka uważała, że jestem za młody, by chodzić do Henryka IV. Dla niej znaczyło to: by dojeżdżać. Przez dwa lata uczyłem się więc w domu.

Obiecywałem sobie Bóg wie co, gdyż — mogąc uporać się w cztery godziny z tym, na co moim dawnym współtowarzyszom potrzeba było przeszło dwa dni — miałem więcej niż pół dnia dla siebie. Przechadzałem się sam nad Marną, która była tak bardzo naszą rzeką, iż mówiąc o Sekwanie moje siostry powiadały: „Wiesz, taka Marna”. Wchodziłem nawet, mimo zakazu, do łódki ojca; jednak nie wiosłowałem, choć nie przyznawałem się przed sobą, że lęk, który mnie od tego powstrzymywał, nie był lękiem przed nieposłuszeństwem. Kładłem się w łódce i czytałem. W 1913 i 1914 dwieście książek. Wcale nie tak zwane niedobre książki, ale raczej najlepsze, jeśli już nie ze względu na ich ducha, to na artyzm. Toteż dopiero o wiele później, w wieku kiedy młodzież pogardza książkami z „Różowej Biblioteki”, ja zasmakowałem w ich dziecinnym

uroku, gdy tymczasem w tamtym okresie nie byłbym ich czytał za nic na świecie.

Złą stroną tych rekreacji na przemian z nauką było, że cały rok nabierał pozorów wakacji. Codzienne lekcje to był drobiazg, ale ponieważ ucząc się krócej od innych uczyłem się też wtedy, gdy tamci mieli wakacje, ten drobiazg stawał się korciem uwiązany przez całe życie kotu u ogona, gdy tymczasem kot na pewno wolałby pomóc się bardziej, ale krótko.

Zbliżały się prawdziwe wakacje, ale mnie niewiele to obchodziło, gdyż nie oznaczało żadnej zmiany. Kot spoglądał wciąż na ser pod kloszem. Nadeszła wojna. Rozbiła klosz. Gospodarze mieli teraz inne zmartwienia i kot się ucieszył.

Prawdę mówiąc, każdy się cieszył we Francji. Dzieci, z nagrodami pod pachą, tłoczyły się przed obwieszzeniami. Żli uczniowie korzystali z zamieszania w domu.

Co dzień chodziliśmy po obiedzie na stację w J., o dwa kilometry od nas, oglądać pociągi wojskowe. Braliśmy ze sobą kampanule i rzucaliśmy je żołnierzom. Damy w kitlach napelniały manierki czerwonym winem i całe litry rozlewały po peronie zasłanym kwiatami. Wszystko to zostawiło mi wspomnienie jakiegoś fajerwerku. Nigdy nie widziałem tyle rozlanego wina, zwiędłych kwiatów. Trzeba

było przystroić flagami nasz dom.

Wkrótce przestaliśmy chodzić do J. Moi bracia i siostry zaczęli mieć pretensję do wojny, trwała zbyt długo. Odbierała im morze. Przyzwyczajeni do późnego wstawania, teraz musieli kupować gazety o szóstej rano. Żalosne urozmaicenie! Lecz koło dwudziestego sierpnia te małe potwory odzyskują nadzieję. Zamiast wstawać zaraz od stołu, przy którym zasiedzieli się dorośli, zostają, żeby przysłuchiwać się, co ojciec mówi o wyjeździe. Na pewno nie będzie żadnych środków lokomocji. Trzeba będzie odbyć daleką podróż na rowerach. Bracia żartują z siostrzyczki. Koła jej roweru mają zaledwie czterdzieści centymetrów średnicy: „Zostawimy cię po drodze”. Mała płacze. Lecz z jakim zapalem biorą się do szykowania rowerów! Nikt się nie leni. Proponują mi, że naprawią mój także. Zrywają się o świcie, żeby zasięgnąć wiadomości. Wszyscy się dziwią, ale ja odkrywam wreszcie prawdziwą sprężynę tego patriotyzmu: podróż rowerami! aż do samego morza! i to bardziej odległego, piękniejszego niż zawsze. Spaliliby Paryż, byle wyruszyć prędzej. To, co napępniało przerażeniem Europę, dla nich stało się jedyną nadzieją.

Czy egoizm tych dzieci tak bardzo różni się od naszego? Latem, na wsi, przeklinamy wyczekiwany przez rolników deszcz.

Niemal każdy kataklizm poprzedzają znaki szczególne. Zamach na arcyksięcia, burza, jaką rozpętał proces Caillaux\*, wytworzyły atmosferę nieznośną, sprzyjającą wszelkim rzeczom niezwykłym. Toteż moje pierwsze wspomnienie wojenne wyprzedza wojnę.

\* W marcu 1914 r. żona J. Caillaux, ówczesnego ministra finansów, zabiła Gastona Calmette, dyrektora „Figaro”, który prowadził kampanię przeciwko jej mężowi. (*Przyp. tłum.*)

A było to tak:

Moi bracia i ja wyśmiewaliśmy się zawsze z jednego z naszych sąsiadów, postaci groteskowej, karła z białą bródką i w kapturze, radnego miejskiego, nazwiskiem Maréchaud. Wszyscy nazywali go ojcem Maréchaud. Chociaż mieszkał z nami drzwi w drzwi, nie kłanialiśmy mu się, co doprowadzało go do takiej pasji, iż pewnego dnia, nie mogąc znieść tego dłużej, podszedł do nas na drodze i powiedział: „Cóż to? Nie kłaniacie się radnemu miejskiemu?” Uciekliśmy. Od czasu tej impertynencji żyliśmy z nim na stopie wojennej. Cóż jednak mógł nam zrobić jakiś tam radny miejski? Wracając ze szkoły i idąc do niej moi bracia ciągnęli za dzwonek

u jego furtki tym śmieiej, że pies, który mógł mieć tyle lat co ja, nie był już groźny.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy w przeddzień 14 lipca 1914 wyszedłszy na spotkanie braci zobaczyłem zbiegowisko przed furtką Maréchaudów. Parę okrzęsanych lip prawie nie zasłaniało ich willi w głębi ogrodu. Od godziny drugiej po południu służąca radnego, która w nagłym obłędzie uciekła na dach, nie chciała stamtąd zejść. Marechaudowie, przerażeni skandalem, zamknęli okiennice, i tragizm tej obłąkanej na dachu zwiększało jeszcze to, iż dom wydawał się opuszczony. Ludzie wołali coś, oburzali się, że jej państwo nie robią nic, by uratować nieszczęsną. Zataczała się, nie wyglądała jednak na pijaną. Pragnąłem zostać tam, lecz matka przysłała po nas służącą, byśmy przyszli odrabiać lekcje. W przeciwnym razie miałem nie wziąć udziału w święcie. Poszedłem do domu zgnębiony, prosząc Boga, żeby służąca była jeszcze na dachu, kiedy będę szedł po ojca na stację.

Była na posterunku, lecz nieliczni przechodnie powracający z Paryża spieszyli się na obiad, by nie ominęła ich zabawa. Obrzucali dach spojrzaniem nieuważnym i przelotnym.

Zresztą dla służącej była to na razie tylko próba, mniej lub bardziej publiczna. Zadebiutować miała dopiero wieczorem, zgodnie ze zwyczajem, w

światle lampionów, jak w świetle rampy. Lampiony paliły się w ogrodzie, bo choć Maréchaudowie udawali, że nie ma ich w domu, jako notable nie odważyli się jednak uchylić od iluminacji. Fantastykę tego domu zbrodni, po którego dachu, niby po przystrojonym flagami pokładzie okrętu, przechadzała się kobieta z rozpuszczonymi włosami, podnosił w znacznej mierze głos tej kobiety: nieludzki, gardłowy i tak łagodny, że przyprawiał o gęsią skórkę.

Ponieważ straż pożarna w takich małych miasteczkach składa się z „ochotników”, zajmuje się przez cały dzień innymi rzeczami niż pompy strażackie. Mleczarz, cukiernik, ślusarz po skończonej pracy schodzą się, by ugasić pożar, jeżeli sam jeszcze nie wygaś. Od chwili mobilizacji nasi strażacy utworzyli poza tym rodzaj tajnej służby, która miała ćwiczenia, odbywała patrole i ronty. Dzielni ci ludzie pojawili się wreszcie i utorowali sobie drogę pośród tłumu.

Jakaś pani wysunęła się naprzód. Była to małżonka innego radnego, przeciwnika Maréchauda; od kilku chwil użalała się głośno nad obłąkaną. Teraz pouczyła kapitana:

— Niech się pan postara przemówić do niej po dobroci; biedaczka, nie zaznała jej wiele w tym domu, gdzie ją bito. A przede wszystkim, jeżeli boi się, że ją odprawią, że zostanie bez pracy, to niech

jej pan powie, że wezmę ją do siebie. Dam jej dwa razy więcej, niż ma tutaj.

To hałaśliwe miłosierdzie nie zrobiło wielkiego wrażenia na gawiedzi. Dama zawadzała jej. Tłum myślał tylko o obławie. Strażacy, w liczbie sześciu, przeszli przez ogrodzenie, otoczyli dom, wdrapywali się ze wszystkich stron. Ledwo jednak któryś z nich ukazywał się na dachu, gawieź, jak dzieci w teatrze kukielkowym, zaczynała wrzeszczeć i ostrzegać ofiarę.

— Bądźcież cicho! — wołała dama, co powodowało jeszcze gwałtowniejsze: „O, wylazł, wylazł!”, publiczności. Na te krzyki obłąkana, uzbroiwszy się w dachówki, cisnęła jedną w kask strażaka, który dotarł na szczyt. Pięciu pozostałych cofnęło się natychmiast.

Gdy tymczasem po strzelnicach, karuzelach i budach na placu merostwa lamentowano, że tak mało jest klienteli tej nocy, która powinna była przynieść obfity dochód, co śmielsze łobuzy przelazły przez mur i stłoczyły się na trawniku, by z bliska śledzić polowanie. Obłąkana mówiła jakieś rzeczy, których już nie pamiętam, z tą głęboką, zrezygnowaną melancholią, jaką daje pewność, że mamy rację, że wszyscy inni się mylą. Łobuzeria, która wołała to widowisko od jarmarku na placu, chciała jednak połączyć obie przyjemności. Toteż drząc, by nie ujęto obłąkanej pod ich nieobecność, niektórzy



biegli pędem przejechać się na drewnianym koniu. Inni, bardziej stateczni, obsiedli lipy, jak na rewii wojsk w Vincennes, i zadowalali się zapalaniem ogni bengalskich i petard.

Można sobie wyobrazić przerażenie państwa Maréchaud, zamkniętych w domu pośród hałasów i błysków.

Radny miejski, małżonek miłosiernej damy, wszedł na murek i zaimprovizował mowę na temat tchórzostwa właścicieli. Przyjęto ją oklaskami.

W przekonaniu, że to ją oklaskują, obłąkana kłaniała się; pod jedną i pod drugą pachą miała po parę dachówek i ciskała nimi za każdym razem, gdy zamigotał kask. Swym nieludzkim głosem dziękowała, że nareszcie ją zrozumiano. Przyszła mi na myśl jakaś dziewczyna-kapitan korsarzy, sama na tonącym okręcie.

Tłum rozchodził się trochę znużony. Ja nie chciałem odejść i zostałem z ojcem, gdy tymczasem matka, by uczynić zadość tej potrzebie mdłości, jakiej doznają dzieci, prowadziła moje rodzeństwo od karuzeli do kolejki górskiej. Odczuwałem tę dziwną potrzebę jeszcze mocniej niż moi bracia. Lubilem, jak serce biło mi prędko i nieregularnie. Głęboka poezja widowiska, jakie miałem przed sobą, dawała mi satysfakcję jeszcze głębszą.

— Jak tyś zbladł — powiedziała matka, nim odeszła.

Ognie bengalskie posłużyły mi jako pretekst. Odparłem, że to w ich świetle wydają się zielony.

— Boję się jednak, że to robi na nim zbyt silne wrażenie — powiedziała matka do ojca.

— Och — odrzekł — nie ma drugiej osoby równie nieczulej jak on. Poza obdzieraniem królika ze skóry może patrzeć na wszystko.

Ojciec mówił tak dlatego, bym został. Wiedział jednak, że ten widok jest dla mnie wstrząsający. Czulem, że dla niego także. Poprosiłem, by posadził mnie sobie na ramionach, bym lepiej widział. W rzeczywistości byłem bliski zemdlenia, nie mogłem utrzymać się na nogach.

Zostało teraz nie więcej niż ze dwadzieścia osób. Usłyszeliśmy trąbki. Był to capstryk z pochodniami.

Sto pochodni oświetliło nagle obłąkaną, tak jak po łagodnym blasku rampy nagły rozbłysk magnetyzmu, kiedy fotografują nową gwiazdę. Wówczas, machając ręką na znak pożegnania, przekonana, że to koniec świata albo po prostu że ją pojماją, rzuciła się z dachu, ze straszliwym brzękiem potłukła spadając szklany daszek nad drzwiami i rozpląszczyła się na schodkach. Aż do tej pory starałem się znieść to wszystko, choć w uszach mi dzwoniło, a serce przestawało bić. Kiedy jednak usłyszałem, jak

ludzie wołają: „Jeszcze żyje!”, opadłem, nieprzytomny, z ramion ojca.

Gdy przyszedłem do siebie, zaprowadził mnie nad Marnę. Położyliśmy się w trawie i leżeliśmy tam, w milczeniu, do bardzo późna.

Kiedy wracałem, wydało mi się, że dostrzegam za furtką jakąś białą postać, zjawę służącej! Był to ojciec Maréchaud w bawełnianym czepku, kontemplujący szkody, potłuczony daszek, dachówki, trawniki, drzewa, schodki zalane krwią, ruinę poważania, jakim się cieszył.

Jeżeli kładę nacisk na ten epizod, to dlatego że lepiej niż cokolwiek innego pozwala zrozumieć, jak dziwnym okresem była wojna i o ile głębiej niż ich powierzchowna malowniczość uderzała mnie poezja rzeczy.

Słyszeliśmy strzały armatnie. Walki toczyły się pod Meaux. Ludzie opowiadali, że koło Lagny, o piętnaście kilometrów od nas, pojmano ułanów. Moja ciotka opowiadała o jakiejś przyjaciółce, która uciekła zaraz w pierwszych dniach, zakopawszy przedtem w ogrodzie zegary i puszki sardynek, zapytałem więc ojca, w jaki sposób moglibyśmy zabrać ze sobą nasze stare książki; tego najbardziej mi było szkoda.

Wreszcie, w chwili gdy szykowaliśmy się do ucieczki, dzienniki doniosły, że to zbyteczne.

Moje siostry chodziły teraz co dzień do J. i zносиły kosze gruszek rannym. Mizerna co prawda,

była to jednak dla moich sióstr pewna rekompensata za wszystkie piękne plany obrócone wniwecz. Kiedy dochodziły do J., kosze były prawie puste.

Miałem zacząć chodzić do liceum Henryka IV, ale ojciec wolał zatrzymać mnie jeszcze przez rok na wsi. Jedyną rozrywką w czasie tej ponurej zimy były dla mnie wypadki do naszej sprzedawczyni gazet po „Le Mot”, pismo, które lubiłem i które ukazywało się w sobotę. Tego dnia zawsze wstawiałem wcześniej.

Nadeszła jednak wiosna, którą urozmaiciły mi pierwsze młodzieńcze eskapady. Pod pretekstem kwesty pierwszy raz paradowałem tej wiosny wyelegantowany u boku jakiejś panienki. Ja niosłem skarbonkę, ona koszyczek ze znaczkami do przypinania. Już w czasie drugiej kwesty koledzy nauczyli mnie korzystać ze sposobności, jaką stanowiły te wolne dni popychające nas w objęcia młodych panienek. — Od tej pory staraliśmy się gorliwie zebrać jak najwięcej pieniędzy zaraz rano, oddawaliśmy w południe nasz plon pani, która patronowała kweście, i całe popołudnie włóczyliśmy się po wzgórzach Chennevières. Po raz pierwszy zawarłem wtedy przyjaźń. Lubiałem kwestować z siostrą mego przyjaciela. Po raz pierwszy znalazłem wspólny język z chłopcem tak samo nad wiek rozwiniętym jak ja, podziwiałem wtedy jego urodę i

arogancki sposób bycia. Wspólna pogarda dla rówieśników zbliżyła nas jeszcze. Tylko my byliśmy zdolni pojąć życie i tylko my byliśmy godni kobiet. Uważaliśmy się za mężczyzn. Na szczęście rok szkolny nie miał nas rozłączyć. René chodził już do liceum Henryka IV, miałem być w jego klasie, trzeciej. Ponieważ on nie uczył się greki, zrobił dla mnie tę najwyższą ofiarę i przekonał rodziców, by pozwolili mu się jej uczyć. Że opuścił jednak pierwszy rok, musiał teraz brać dodatkowe lekcje. Jego rodzice, którzy w poprzednim roku, na jego błagania, przystali, by się greki nie uczył, nie mogli nic zrozumieć. Doszli do wniosku, że toja mam taki wpływ na Renégó, i spośród wszystkich jego kolegów mnie wyróżniali szczególną sympatią.

Po raz pierwszy ani jeden dzień wakacji mi nie zaciążył. Przekonałem się, że nikt nie wyłamuje się spod praw swego wieku i że moja niebezpieczna pogarda stopniała jak lód, z chwilą gdy ktoś zechciał zwrócić na mnie uwagę w sposób, który mi odpowiadał. Ponieważ wyszliśmy sobie naprzeciw, skróciło to o połowę drogę, jaką duma każdego z nas musiała przebyć.

Z chwilą rozpoczęcia roku szkolnego René stał się dla mnie bezcennym przewodnikiem.

Z nim wszystko było miłe, i ja, który sam nie potrafiłem ruszyć się ani kroku, z przyjemnością szedłem teraz dwa razy dziennie pieszo od Henryka IV do dworca przy placu Bastylii, gdzie wsiadaliśmy do pociągu.

Tak upłynęły trzy lata, bez żadnej innej przyjaźni i bez żadnych innych nadziei, prócz niewinnych grzeszków czwartkowych — z dziewczynkami, które rodzice mego przyjaciela podsuwali nam w najlepszej wierze, zapraszając razem na podwieczorek kolegów syna i koleżanki córki — ukradkowych łask, jakimi obdarzaliśmy się nawzajem, one nas i my je, pod pretekstem wykupywania fantów.

Z nadejściem ładnej pogody ojciec chętnie zabierał mnie z braćmi na długie spacerunki. Jednym z naszych ulubionych miejsc było Ormesson i przechadzka wzdłuż Morbras, rzeczki na metr szerokiej, płynącej wśród łąk porośniętych kwiatami niespotykanymi nigdzie indziej, których nazw już nie pamiętam. Kępy rzeżuchy wodnej i błotnej mięty kryją przed wahającą się stopą granicę, gdzie zaczyna się woda. Wiosną fala unosi tysiące płatków różowych i białych. To z głogów.

W którąś niedzielę kwietnia 1917 pojechaliśmy naszym zwyczajem do La Varenne, skąd mieliśmy pójść pieszo do Ormesson. Ojciec powiedział mi, że w La Varenne spotkamy bardzo sympatycznych ludzi, państwa Grangier. Znałem ich stąd, że widziałem nazwisko ich córki, Marty, w katalogu wystawy malarskiej. Któregoś dnia, dosyć już dawno temu, słyszałem, jak rodzice mówili, że spodziewają się wizyty niejakiego pana Grangier. Marta była wówczas chora. Ojciec chciał jej zrobić niespodziankę: przyniósł jej akwarele, by zamieścić je na wystawie zorganizowanej na cele dobroczynne, której patronowała moja matka. Były to bardzo przeciętne akwarelki; czuło się, że malowała je

przykładna uczennica, wysuwając przy tym język i oblizując pędzle.

Państwo Grangier czekali nas na peronie w La Varenne. Musieli być oboje mniej więcej w tym samym wieku, koło pięćdziesiątki. Pani Grangier wyglądała jednak starzej od męża; niezgrabna i nieelegancka, nie spodobała mi się od pierwszej chwili.

W czasie tego spaceru zauważyłem, że często marszczy brwi, przy czym zmarszczki, jakimi pokrywało się jej czoło, znikają dopiero po chwili. Abym bez wyrzutów sumienia, iż jestem niesprawiedliwy, mógł powiedzieć sobie, że osoba ta ma wszelkie dane, by mi się nie podobać, pragnąłem, żeby wyrażała się w sposób pospolity. Pod tym względem sprawiła mi zawód.

Mąż jej wyglądał na zanego człowieka, dawnego podoficera, uwielbianego przez żołnierzy. Ale gdzie była Marta? Drżałem na myśl, że cały spacer mam odbyć jedynie w towarzystwie jej rodziców. Miała przyjechać następnym pociągiem, „za kwadrans — wyjaśniła pani Grangier — bo nie zdążyła. Przyjeżdżie z bratem”.

Kiedy pociąg wjechał na stację, Marta stała na stopniu wagonu.

— Zaczekaj, aż pociąg się zatrzyma! — zawołała do niej matka.

Zachwyciła mnie nieostrożność tej dziewczyny.



Jej suknia i kapelusz, bardzo proste, świadczyły, że niewiele sobie robi z tego, co powiedzą o niej ludzie, których nie znała. Za rękę trzymała chłopca jakichś lat jedenastu. Był to jej brat, blady chłopczyk o włosach albinosa; każdy jego ruch mówił o tym, że jest chory.

Marta i ja poszliśmy przodem. Ojciec szedł z tyłu pomiędzy państwem Grangier.

Moi bracia nudzili się z nowym kolegą, któremu nie pozwalano biegać.

Na moje pochwały pod adresem jej akwarel Marta odparła skromnie, że to tylko studia. Nie przywiązuje do nich żadnej wagi. Pokaże mi coś lepszego, kwiaty „stylizowane”. Uznałem, że na początek lepiej nie mówić, iż uważam takie kwiaty za śmieszne.

Spod kapelusza nie mogła dobrze mnie widzieć. Za to ja ją obserwowałem.

— Nie jest pani podobna do matki — odezwałem się.

Był to ukryty komplement.

— Niektórzy twierdzą, że nie, ale jak pan do nas przyjdzie, pokażę panu zdjęcia mamusi, jak była młoda; jestem do niej bardzo podobna.

Ta odpowiedź zasmuciła mnie i prosiłem Boga, żeby oszczędził mi widoku Marty, kiedy będzie w wieku swojej matki.

Chcąc rozproszyć niemile uczucie, jakie wywołała we mnie ta odpowiedź, i nie zdając sobie sprawy,

że tylko dla mnie było ono niemiłe, gdyż Marta nie widziała na szczęście matki moimi oczami, powiedziałem:

— Nie powinna się pani tak czesać, z gładkimi włosami byłoby pani lepiej.

Przeraziłem się, bo nigdy jeszcze nie powiedziałem nic podobnego żadnej kobiecie. I pomyślałem o własnym uczesaniu.

— Może się pan zapytać mamusi (zupełnie jakby musiała się usprawiedliwiać!), zazwyczaj jestem lepiej uczesana, ale dzisiaj było już późno i bałam się, że nie zdążę i na ten drugi pociąg.

Zresztą nie miałam zamiaru zdejmować kapelusza.

„Cóż to za dziewczyna — pomyślałem — że pozwala, aby jakiś smarkacz robił jej uwagi na temat uczesania?”

Staralem się odgadnąć jej gusty literackie; ku mojej radości znała Baudelaire'a i Verlaine'a i ucieszyło mnie jej podejście do Baudelaire'a, jakkolwiek inne od mojego. Wyczuwałem w nim bunt. Rodzice pogodzili się ostatecznie z jej upodobaniami. Ale Marta miała do nich żal, że to tylko przez miłość do niej. Narzeczony pisał jej w swych listach o tym, co czyta, jedne książki jej doradzał, innych zabraniał. *Kwiatów zła* czytać jej zabronił. Niemiłe zaskoczony wiadomością, że jest zaręczona, rad byłem, że nie słucha jakiegoś tam żołnierza, na tyle głupiego, żeby bać się Baudelaire'a. Z przyjemnością wyczuwałem, że często musiał razić

Martę. Kiedy minęło to pierwsze niemile zdziwienie, pogratulowałem sobie w duchu, że jest tak ograniczony, tym bardziej iż zląkłem się, że gdyby i on także lubił *Kwiaty zła*, wewnątrz ich przyszłego domu przywołałoby na myśl *Śmierć kochanków*. Dopiero później zadałem sobie pytanie, co mnie to właściwie może obchodzić.

Narzeczony zabronił jej także chodzić do szkoły rysunku. Chociaż nie chodziłem tam nigdy, zaproponowałem, że będę ją odprowadzał, i dorzuciłem, że często tam pracuję. Potem jednak, bojąc się, żeby moje kłamstwo nie wyszło na jaw, poprosiłem, żeby nie mówiła o tym mojemu ojcu. Nie wie on, powiedziałem, że często opuszczam lekcje gimnastyki, żeby pójść do Grande-Chaumière. Nie chciałem bowiem, żeby pomyślała, iż ukrywam naukę w akademii dlatego, że rodzice zabraniają mi patrzeć na nagie kobiety. Ucieszyłem się, że mamy wspólny sekret, i ja, nieśmiały, w stosunku do niej czułem się już tyranem.

Byłem też dumny, że interesuję ją bardziej niż natura, gdyż do tej pory nie zrobiliśmy jeszcze ani jednej aluzji do tła naszego spaceru. Czasem rodzice zwracali się do niej: „Popatrz, Marto, na prawo, jakie te wzgórza Chennevières są ładne”, lub też podchodził jej brat i pytał o nazwę zerwanego kwiatu. Poświęcała im nie więcej powierzchownej uwagi, niż wymagała tego podstawowa uprzejmość.

Usiedliśmy na łąkach w Ormesson: W prostocie ducha żałowałem, że posunąłem się tak daleko i tak szybko. „Gdyby nasza rozmowa była mniej sentymentalna, bardziej naturalna — myślałem — mógłbym teraz olśnić Martę i zyskać sobie przychyłność jej rodziców opowiadając o przeszłości tego miasteczka”. Nie zrobiłem tego. Uważałem, że mam po temu głębokie przyczyny i że po tym wszystkim, co między nami zaszło, rozmowa ta, zupełnie niezwiązana z naszymi wspólnymi niepokojami, mogłaby tylko przerwać czar. Byłem przeświadczony, że zaszły między nami rzeczy ważne. Była to zresztą prawda, ale dowiedziałem się o tym później, ponieważ Marta odmieniła bieg naszej rozmowy w tę samą stronę co ja. Ale ja o tym nie wiedziałem i wyobrażałem sobie, że wyrzekłem do niej słowa znaczące. Wydawało mi się, że wyraziłem miłość osobie nieczulej. Zapomniałem, że państwo Grangier doskonale mogli przysłuchiwać się wszystkiemu, co mówiłem do ich córki; lecz ja, w ich obecności, czy mógłbym jej być powiedzieć to wszystko?

„Marta mnie nie onieśmiela — powtarzałem sobie. — To tylko jej rodzice i mój ojciec przeszkadzają mi pochylić się i pocałować ją w szyję”.

W głębi mnie inny chłopiec gratulował sobie obecności natrętów. Myślał: „Jak to dobrze, że nie jestem z nią sam! Wtedy też nie śmiałybym jej

pocałować, a nie miałbym żadnego usprawiedliwienia”. W ten sposób oszukują się ludzie nieśmia-  
li.

Odjeżdżaliśmy z dworca w Suce. Ponieważ do odejścia pociągu mieliśmy jeszcze dobre pół godziny, usiedliśmy na tarasie kawiarni. Musieliśmy wysłuchiwać pochwał pani Grangier. Upokarzały mnie. Przypominały jej córce, że jestem tylko lice-  
alistą, który za rok zdaje maturę. Marta chciała napić się grenadyny; poprosiłem o to samo. Jeszcze rano byłbym to sobie poczytał za hańbę. Ojciec nie rozumiał, co się stało. Zawsze zamawiał dla mnie jakiś aperitif. Drżałem, żeby nie zaczął pokpiwać, że zrobiłem się taki przykładowy. Uczynił to, ale nie wprost, tak że Marta nie domyśliła się, iż piję grenadynę dlatego, że ona ją piła.

W F. pożegnaliśmy się z Grangierami. Obieca-  
łem Marcie, że w następny czwartek zaniosę jej rocznik dziennika „Le Mot” i *Sezon w piekle*.

— Oto tytuł, który zachwyciłby mojego narze-  
czonego!

Śmiała się.

— Marto! — marszcząc brwi odezwała się jej matka, którą taki brak uległości zawsze raził.

Mój ojciec i bracia wynudzili się, ale to co! Szczęście jest egoistyczne.

Następnego dnia w szkole nie czułem potrzeby opowiedzenia Renému, któremu zawsze mówiłem wszystko, jak spędziłem niedzielę. Nie byłem w nastroju do znoszenia jego docinków, że nie pocałowałem Marty ukradkiem. Co innego mnie dziwiło — René nie wydawał mi się dzisiaj taki różny od innych kolegów.

Kochając Martę okradałem z mojej miłości Renégó, rodziców, siostry.

Przyrzekłem sobie, że zdobędę się na tyle siły woli, by nie odwiedzić jej wcześniej, niż się umówiliśmy. Jednak we wtorek wieczorem, nie mogąc się już doczekać, znalazłem usprawiedliwienie dla mojej słabości i po obiedzie zaniósłem Marcie książkę i pisma. „Moja niecierpliwość będzie dla Marty dowodem miłości — mówiłem sobie. — A jeżeli nie zechce jej dojrzeć, potrafię ją do tego zmusić”.

Przez piętnaście minut biegłem jak szalony do jej domu. Kiedy już byłem na miejscu, w obawie

by nie przeszkodzić jej w obiedzie, zlany potem, czekałem przez dziesięć minut przed furką. Myślałem, że przez ten czas serce przestanie mi łomotać. Tymczasem, przeciwnie, biło coraz mocniej. Mało brakowało, a byłbym zawrócił, ale od paru minut z sąsiedniego okna przyglądała mi się jakaś kobieta, zaintrygowana, co robię przy drzwiach. To zadecydowało. Zadzwoiłem. Wszedłem do domu. Zapytałem służącej, czy zastałem panią. Niemal w tej samej chwili do pokoiku, gdzie mnie wprowadzono, weszła pani Grangier. Wzdrygnąłem się, jak gdyby służąca powinna była zrozumieć, że pytałem o „panią” tylko przez wzgląd na konwenanse, a w rzeczywistości chodziło mi przecież o „panienkę”. Czerwieniąc się poprosiłem panią Grangier, by mi wybaczyła wizytę o tak niestosownej porze, zupełnie jakby to była pierwsza w nocy; ponieważ nie będę mógł przyjść we czwartek, przynoszę książkę i pisma dla jej córki.

— A to doskonale — odparła pani Grangier — gdyż Marta i tak nie mogłaby pana przyjąć. Jej narzeczony dostał urlop o dwa tygodnie wcześniej, niż się spodziewał. Przyjechał wczoraj i dziś Marta jest na obiedzie u swych przyszłych teściów.

Pożegnałem się więc, a ponieważ, jak sądziłem, nie miałem już szansy zobaczyć więcej Marty,

staralem się o niej nie myśleć i przez to samo myślałem o niej stale.

Tymczasem jednak w miesiąc później wyskakując pewnego ranka z wagonu na dworcu koło placu Bastylli zobaczyłem ją, jak wychodziła z innego wagonu. Przyjechała na zakupy związane ze ślubem. Poprosiłem, żeby mnie odprowadziła do Henryka IV.

— O — powiedziała — to na przyszły rok, jak pan będzie w drugiej, mój teść będzie uczył pana geografii.

Urażony, że mówi ze mną o szkole, jakby to był jedyny temat do rozmowy w moim wieku, odparłem cierpko, że będzie to dość zabawne.

Zmarszczyła brwi. Przypominała mi swoją matkę.

Dochodziliśmy już do Henryka IV, a że nie chciałem rozstawać się z nią po tych słowach, które, jak myślałem, mogły ją były dotknąć, postanowiłem opuścić lekcję rysunków i iść do szkoły o godzinę później. Ku mojej radości Marta nie okazała rozwagi, nie robiła mi żadnych wyrzutów i zdawała się raczej dziękować mi za tę ofiarę, w rzeczywistości żadną. Byłem jej wdzięczny, że nie zaproponowała, bym towarzyszył jej do sklepów, lecz że oddała mi swój czas, tak jak ja oddałem jej mój.



Byliśmy teraz w Ogrodzie Luksemburskim; zegar na Senacie wybił dziewiątą. Zrezygnowałem ze szkoły. Cudownym sposobem miałem przy sobie więcej pieniędzy, niż miewają zazwyczaj uczniowie w ciągu dwóch lat, gdyż poprzedniego dnia na giełdzie znaczków pocztowych, odbywającej się za Guignolem na Champs-Élysées, sprzedałem najcenniejsze z moich znaczków.

W trakcie rozmowy dowiedziałem się od Marty, że śniadanie ma zjeść u teściów, i postanowiłem nakłonić ją, by została ze mną. Wybiło wpół do dziesiątej. Marta poderwała się, nieprzyzwyczajona jeszcze, by ktoś zaniedbywał dla niej obowiązki szkolne. Widząc jednak, że nie ruszam się z ogrodowego krzeselka, nie odważyła się przypomnieć mi, że powinienem siedzieć teraz w ławce szkolnej.

Trwaliśmy w bezruchu. Tak pewno wygląda szczęście. Jakiś pies wyskoczył z basenu i otrzepywał się z wody. Marta wstała, jak ktoś, kto po drzemce, z twarzą powleczoną jeszcze snem, otrząsa się z marzeń sennych. Rękami wykonywała ruchy jak przy gimnastyce. Wydało mi się to złą wróżbą.

— Strasznie twarde są te krzesła — powiedziała jakby usprawiedliwiając się, że stoi.

Miała lekką jedwabną sukienkę, którą pogniotła siedząc. Mimo woli wyobrażałem sobie rysunek,

jaki wyplatane krzesło odciska na skórze.

— W takim razie, skoro zrezygnował pan z lekcji, niechże idzie pan ze mną do sklepów — powiedziała Marta, po raz pierwszy robiąc aluzję do tego, co zaniedbywałem dla niej.

Obszedłem z nią wiele sklepów bieliźniarskich i nie pozwalałem, by wybierała to, co jej się podobało, ale nie podobało się mnie; unikałem na przykład koloru różowego, którego nie lubię, a który był jej ulubionym kolorem.

Po tych pierwszych zwycięstwach trzeba było teraz przekonać Martę, żeby nie szła na śniadanie do teściów. Nie przypuszczając, by zechciała okłamać teściów dla samej tylko przyjemności pozostania w moim towarzystwie, usiłowałem wynaleźć coś, co by ją skłoniło do dalszych wagarów ze mną. Marzyła o tym, by zobaczyć jakiś bar amerykański. Nie śmiała nigdy prosić narzeczonego, by ją tam zaprowadził. Zresztą on nie chodził do barów. Miałem więc pretekst. Jej odmowa, pełna prawdziwego żalu, pozwoliła mi przypuszczać, że dopnę jednak celu. Po półgodzinie, kiedy wyczerpałem wszystkie sposoby perswazji i nie nalegałem już więcej, wsiałem z nią do taksówki i wiozłem ją do teściów w podobnym stanie ducha co skazaniec, który do końca nie traci nadziei, że jakaś niespodziewana odsiecz uratuje go od kąpieli. Tymczasem byliśmy coraz bliżej celu, a nic się nie działo. Lecz nagle

Marta zastukała w szybę i zatrzymała taksówkę przed pocztą.

— Niech pan poczeka chwilę — powiedziała. — Zadzwoń do teściowej, że jestem w bardzo odległej dzielnicy i nie zdążę na śniadanie.

Po paru minutach nieznośnego wyczekiwania zauważyłem kwiaciarkę i wybrałem kilka czerwonych róż. Myślałem nie tyle o zrobieniu przyjemności Marcie, ile o tym, że po powrocie znów będzie musiała skłamać, by wyjaśnić rodzicom, skąd ma róże. Nasz zamiar wspólnego uczęszczania do szkoły rysunku, jaki powzięliśmy na pierwszym spacerze; kłamstwo przy telefonie, które będzie musiała powtórzyć wieczorem rodzicom, dodając jeszcze kłamstwo o różach — były to dla mnie zdobycze słodsze od pocałunków. Ponieważ często zdarzało mi się całować usta młodych dziewczynek i nie sprawiało mi to wielkiej przyjemności, a nie pamiętałem, że to dlatego, iż nie kochałem żadnej z nich, nie pożądałem ust Marty. Aż dotąd jednak nie znałem nigdy takiej skrywanej wspól winy.

Marta wyszła z poczty rozpromieniona po swoim pierwszym kłamstwie. Dałem szoferowi adres baru na ulicy Daunou.

Marta zachwycała się jak pensjonarka białą kurtką barmana, wdziękiem, z jakim potrząsał srebrnym naczyniem do cocktailów, dziwaczny

i poetycznymi nazwami trunków. Od czasu do czasu wachała czerwone róże, które zamierzała namalować akwarelą i dać mi ją później na pamiątkę tego dnia. Poprosiłem, żeby pokazała mi zdjęcie narzeczonego. Wydał mi się przystojny. Ponieważ zdawałem sobie już sprawę, jaką wagę przywiązuje Marta do moich sądów, posunąłem hipokryzję tak daleko, iż powiedziałem jej, że jest bardzo przystojny, ale tonem niezbyt przekonany, by mogła wy czuć, iż mówię tak przez uprzejmość. Powinno to być, według mnie, zasiać niepokój w duszy Marty, a poza tym zyskać mi jej wdzięczność.

Lecz po południu trzeba było przypomnieć sobie o celu jej dzisiejszej podróży. Narzeczonego, którego gust znała, całkowicie zdał się na nią w urządzaniu ich przyszłego domu. Lecz matka koniecznie chciała jej towarzyszyć. Wreszcie, za cenę obietnicy, że nie będzie robiła żadnych szaleństw, udało jej się pojechać samej. Miała wybrać meble do sypialni. Choć przyrzekłem sobie, iż nie okażę Marcie, że jakieś jej słowa sprawiły mi wielką przykrość czy też wielką przyjemność, musiałem zdobyć się na wysiłek, by iść dalej krokiem spokojnym, który nie zgadzał się teraz z rytmem mego serca.

Konieczność towarzyszenia Marcie wydała mi się złośliwością losu. Miałem więc pomagać w wybieraniu sypialni dla niej i dla innego! Później jednak

dojrzałem w tym sposobność wybrania sypialni dla Marty i dla siebie.

Tak szybko zapomniałem ojej narzeczonym, iż, po kwadransie byłbym zaskoczony, gdyby ktoś mi przypomniał, że to inny spać będzie obok niej w tej sypialni.

Jej narzeczony lubił meble w stylu Ludwika XV.

Zły smak Marty objawiał się inaczej; miała raczej upodobanie do japońszczyzny. Musiałem więc zwalczać ich oboje. Był to wyścig. Przy pierwszym słowie Marty, domyślając się, co ją nęci, wskazywałem coś zupełnie innego, co nie zawsze mi się podobało, po to, by nadać sobie pozór ustępowania jej kaprysom, gdy przystawałem na jakiś inny mebel, mniej rażący dla jej oka.

— On tak chciał, żeby sypialnia była różowa — szeptala. Nie śmiała już nawet przyznawać się przede mną do swych gustów i przypisywała je narzeczonemu. Czulem, że za parę dni będziemy wyśmiewać się z nich razem.

Jednakże nie bardzo rozumiałem jej uległość. „Jeżeli mnie nie kocha — myślałem — to dlaczego mi ustępuje, poświęca upodobania swoje i tego młodego człowieka?” Nie wiedziałem dlaczego. Najprościej było przyjąć, że Marta mnie kocha. Pewien byłam jednak, że tak nie jest.

— Zostawmy mu chociaż różowe obicia — powiedziała.

„Zostawmy mu!” Dla samych tych słów gotów już byłem ustąpić. Ale „zostawić mu różowe obicia” znaczyło przekreślić wszystko. Przedstawiłem Marcie, jak bardzo różowe ściany kłóciłyby się z prostotą mebli, „które wybraliśmy”, i, cofając się jeszcze przed skandalem, poradziłem jej, by obielila ściany sypialni wapnem!

Tym ją dobiłem. Zmordowana całym tym dniem, który był dla niej udreką, przyjęła ten cios bez buntu. Skwitowała go krótkim:

— Rzeczywiście, ma pan rację.

Pod koniec tego dnia, który tak nas zmęczył, gratulowałem sobie swoich osiągnięć. Mebel po meblu, udało mi się przekształcić to małżeństwo z miłości czy raczej z miłostki w małżeństwo z rozsądku, i to jakie! — bo przecież rozsądek nie odgrywał w nim żadnej roli, gdyż obie strony, jako jedyną korzyść, znajdowały jedynie to, co daje małżeństwo z miłości.

Żegnając się ze mną tego wieczora, zamiast uniękać na przyszłość moich rad, Marta poprosiła, bym pomógł jej w następnych dniach wybrać resztę mebli. Zgodziłem się pod warunkiem, iż nigdy nie powie o tym swojemu narzeczonemu, bo jedyne, co mogło pogodzić go z tymi meblami, jeżeli kochał Martę, to myśl, że pochodzą z jej wyboru i ponieważ są jej miłe, staną się miłe obojgu.

Kiedy po powrocie do domu spotkałem wzrok ojca, wydało mi się, że wie już o mojej eskapadzie. Oczywiście nie wiedział nic; skąd mógł się dowiedzieć?

„Och, Jakub przyzwyczai się w końcu do tej sypialni”, powiedziała w pewnej chwili Marta. Kładąc się spać powtarzałem sobie, że jeżeli rozmyśla przed zaśnięciem o swoim małżeństwie, to dzisiaj spogląda na nie chyba zupełnie inaczej niż dotąd. Co do mnie, to niezależnie od tego, jak miała się skończyć ta idylla, z góry już zemściłem się na jej Jakubie: myślałem o nocy poślubnej w tej surowej sypialni, w „mojej” sypialni!

Nazajutrz rano czyhałem na ulicy na listonosza, żeby odebrać od niego zawiadomienie o nieobecności w szkole. Wsadziłem je do kieszeni, a resztę listów wrzuciłem do skrzynki przy furtce. Sposób zbyt prosty, by nie był zawsze stosowany.

Sądziłem, że skoro opuszczam lekcje, to znaczy, iż kocham Martę. Myliłem się. Marta była dla mnie tylko pretekstem do wagarów. Najlepszy dowód, iż zakosztowawszy w towarzystwie Marty uroków swobody zapragnąłem kosztować je sam, a później poszukać adeptów. Swoboda prędko stała się dla mnie narkotykiem.

Rok szkolny dobiegał końca, a ja stwierdzałem z przerażeniem, że moje lenistwo uchodzi mi na

sucho, gdy tymczasem pragnąłem, by wyrzucono mnie z liceum, by ten okres zamknął się jakimś dramatem.

Kiedy wciąż myślimy tylko o jednym, widzimy tylko jedno i pragniemy tego namiętnie, przestajemy dostrzegać, jak okrutne są nasze pragnienia. Na pewno nie chciałem sprawie przykrości ojcu, mimo to pragnąłem rzeczy, która miała zabołec go bardziej niż cokolwiek. Szkoła zawsze była dla mnie torturą; Marta i swoboda zohydziły mi ją do reszty. Zdawałem sobie dobrze sprawę, że jeżeli mniej lubię Renégo, to dlatego, że przypominał mi szkołę. Cierpiałem, i było to cierpienie wręcz fizyczne, na myśl, że w następnym roku znów czeka mnie głupota moich kolegów szkolnych.

Nieszczęściem dla Renégo, aż za bardzo udało mi się wciągnąć go na złą drogę. Toteż kiedy oznajmił mi, że usunięto go z Henryka IV (był mniej sprytny ode mnie), byłem pewien, że i mnie usunięto także. Trzeba było powiadomić ojca, wiedziałem, że będzie mi wdzięczny, jeżeli powiem mu o tym sam, przed listem od wychowawcy, listem zbyt dużej wagi, żeby wziąć go od listonosza i wsadzić do kieszeni.

Była to środa. Nazajutrz, w wolny dzień, odczekałem, aż ojciec pojechał do Paryża, i powiedziałem matce. Perspektywa czterech ciężkich dni w domu przestraszyła ją bardziej niż



sama wiadomość. Potem poszedłem nad Marnę; Marta powiedziała mi, że może tam przyjdzie. Nie przyszła. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Nasze spotkanie, w niedobry sposób podniecając moją energię, mogło mnie być popchnąć do stawienia czoła ojcu, gdy tymczasem po dniu pustki i smutku wracałem do domu z głową opuszczoną, jak przystało. Wróciłem nieco później, niż wracał zazwyczaj ojciec. „Wiedział” już więc. Spacerowałem po ogrodzie czekając, aż mnie zawoła. Moje siostry bawiły się w milczeniu. Domyślały się czegoś. Jeden z braci, dosyć podniecony nadchodzącą burzą, przyszedł mi powiedzieć, żebym poszedł do sypialni, gdzie ojciec się położył.

Podniesiony głos, groźby pozwoliłyby mi na opór. To, co nastąpiło, było najgorsze. Ojciec milczał; wreszcie bez najmniejszego gniewu, głosem łagodniejszym nawet niż zawsze, zapytał:

— Więc co zamierzasz teraz robić?

Łzy, które nie znajdowały sobie ujścia, jak rój pszczoł brzęczały mi w głowie. Cudzej woli mogłem przeciwstawić własną, choćby bezsilną. Lecz wobec takiej łagodności myślałem tylko o poddaniu.

— To, co mi każesz.

— Po cóż znowu kłamiesz? Zawsze zostawiałem ci swobodę; korzystaj z niej dalej. Na pewno dołożysz starań, żebym tego pożałował.

We wczesnej młodości zbyt skłonni jesteśmy myśleć, jak kobiety, że łyzy mogą wynagrodzić wszystko. Ojciec nie chciał ode mnie nawet łyzy. Jego wielkoduszność kazała mi się wstydzić teraźniejszości i przyszłości. Czułem bowiem, że cokolwiek bym powiedział, skłamię. „Niechże chociaż — myślałem — to kłamstwo będzie mu podporą, zanim stanie się źródłem nowych trosk”. Nie, znów usiłuję okłamać siebie. Po prostu miałem ochotę na jakieś zajęcie równie niemęczące jak spacer, które podobnie jak one pozwalałoby mi nieustannie obcować w myślach z Martą. Udałem, że chcę malować i że nigdy nie śmiałem się do tego przyznać. I tym razem ojciec nie powiedział „nie”, pod warunkiem, że będę przerabiał w domu to, co przerobiłbym w następnym roku w szkole; wolno mi będzie malować.

Kiedy więzy nie są jeszcze zbyt silne, wystarczy raz nie przyjść na spotkanie, by utracić kogoś z oczu. Ponieważ ciągle myślałem o Marcie, w rzeczywistości myślałem o niej coraz mniej. Z myślą moją działo się podobnie, jak bywa z oczami — kiedy za długo przyglądamy się tapetom w sypialni, przestajemy je widzieć.

Rzecz niewiarygodna! Nabrałem nawet ochoty do pracy. Nie skłamałem ojcu tak, jak się tego obawiałem.

Kiedy jakiś bodziec zewnętrzny skłaniał mnie do myślenia o Marcie nie tak leniwie, myślałem o niej bez miłości, z melancholią, jaką budzi w nas to, co mogło być. „Cóż — mówiłem sobie — to by było zbyt piękne. Nie można i wybierać łóżka, i potem w nim spać”.

Jedna rzecz dziwiła mego ojca. List od wychowawcy nie przychodził. Z tego powodu zrobił mi po raz pierwszy awanturę, gdyż myślał, że przejąłem list, a potem, udając, że sam się przyznaję, uzyskałem jego pobłażanie. Tymczasem listu takiego w ogóle nie było. Myliłem się sądząc, że usunięto mnie ze szkoły. Toteż ojciec nie mógł nic zrozumieć, kiedy z początkiem wakacji otrzymał pismo od dyrektora.

Pytał, czy jestem chory i czy ma mnie zapisać na rok następny.

Radość, że wreszcie sprawiam satysfakcję ojcu, zapelniała nieco próżnię uczuciową, w jakiej się znalazłem, gdyż przeświadczony, że nie kocham już Marty, uważałem ją jednak za jedyną miłość godną siebie. Znaczy to, że kochałem ją nadal.

W takim stanie ducha, wróciwszy kiedyś do domu pod koniec listopada, w miesiąc po otrzymaniu zawiadomienia o jej ślubie, zastałem list od Marty zaczynający się od słów: „Nie rozumiem pana milczenia. Dlaczego nie odwiedzi mnie pan nigdy? Widocznie zapomniał pan już, że to pan wybierał moje meble...”

Marta mieszkała w J.; uliczka schodziła aż do Marny. Po każdej stronie chodnika było najwyżej jakieś dwanaście willi. Zdziwiłem się, że Marta zajmuje taką dużą. W rzeczywistości zajmowała tylko górę, dół dzielili między siebie gospodarze i jakieś starsze małżeństwo.

Kiedy przyszedłem, zaproszony na podwieczorek, było już ciemno. Tylko jedno okno, nie zdradzając wprawdzie obecności ludzkiej, zdradzało obecność ognia. Widok szyb oświetlonych płomykami nierównymi jak fale nasunął mi myśl o pożarze. Żelazna furka od ogrodu była uchylona. Ta lekkomyślność zdziwiła mnie. Rozejrzałem się za

dzwonkiem: nie było go. Wreszcie, wszedłszy po trzech stopniach na ganek, postanowiłem zapukać w okno na parterze po prawej stronie, gdyż słyszałem tam głosy. Drzwi otworzyła mi jakaś starsza pani. Zapytałem, gdzie mieszka pani Lacombe (tak nazywała się teraz Marta): „Na górze”. Szedłem schodami po omacku, chwiejąc się i obijając, nieprzytomny z lęku, że stało się jakieś nieszczęście. Zapukałem. Otworzyła mi Marta. O mało nie rzuciłem się jej na szyję, jak robią ludzie prawie sobie obcy, którzy razem uratowali się od katastrofy. Nie byłaby nic z tego zrozumiała. Na pewno musiałem wydać się jej dziwny, bo pierwsza rzecz zapytałem: „Skąd ten ogień?”

— Bo czekając na pana napaliłam w salonie drzewem oliwnym i czytałam przy kominku.

W pokoiku, który służył jej jako salon, stało niewiele sprzętów, a obicia ścian i duży dywan, puszysty jak sierść zwierzęcia, ścieśniały go do rozmiarów pudełka; wchodząc tam poczułem się jednocześnie szczęśliwy i nieszczęśliwy, jak dramaturg, który patrząc na swą sztukę zbyt późno odkrywa w niej błędy.

Marta z powrotem wyciągnęła się przed kominkiem i przegarniała płonące szczapy, uważając, by nie mieszać węgielków z popiołem.

— A może pan nie lubi zapachu drzewa oliwnego? Moi teściowie sprowadzili je dla mnie ze swej posiadłości na południu.

Marta zdawała się usprawiedliwiać, iż jakiś szczegół w tym pokoju, będącym moim dziełem, pochodzi od niej. Może zepsuła w ten sposób jakąś całość, niezupełnie dla niej zrozumiałą.

Przeciwnie. Ten ogień mnie zachwycał, zachwycało mnie też, że Marta, podobnie jak ja, dopiero gdy mocno przygrzała się z jednej strony, przewracała się na drugą. Jej spokojna i poważna twarz jeszcze nigdy nie wydała mi się tak piękna jak w tym dzikim świetle. Nierozproszone po pokoju zachowywało całą swą siłę. Poza nim była ciemność i można się było potknąć o meble.

Marta nie umiała cieszyć się szczebiotliwie. Jej radość była poważna.

Z wolna popadałem w odrętwienie, Marta wydawała mi się inna. To dlatego iż teraz, kiedy byłem pewny, że już jej nie Kocham, zaczynałem ją kochać. Czuję się niezdolny do wyrachowania, do jakichś machinacji, do tego wszystkiego, co dotąd, a i w owej chwili też jeszcze, uważałem za rzecz w miłości nieodzowną. Nagle poczułem się lepszy. Ta raptowna przemiana każdemu byłaby otworzyła oczy: ja nie pojąłem, że pokochałem Martę. Przeciwnie, widziałem w tym dowód, że moja miłość umarła, a zastąpiła ją piękna przyjaźń. Ta perspektywa długiej przyjaźni uświadomiła mi nagle, jak

bardzo inne uczucie byłoby tu występne, krzywdzące dla człowieka, który ją kochał, do którego miała należeć i który nie mógł być z nią razem.

A przecież jeszcze coś innego powinno mnie było oświecić co do prawdziwej natury moich uczuć. Przed paroma miesiącami, kiedy spotykałem Martę, moja rzekoma miłość nie przeszkadzała mi wydawać o niej sądów, uważać za brzydkie większości rzeczy, które ona uważała za ładne, a za dziecinne większości tego, co mówiła. Dzisiaj, jeżeli nie myślałem o czymś tak jak ona, byłem przekonany, że nie mam racji. Najpierw dałem się zwieść brutalności moich pierwszych żądań, teraz zaś łagodności uczucia głębszego. Nie czułem się zdolny do niczego, co sobie przedtem obiecywałem. Zaczynałem szanować Martę, gdyż zaczynałem ją kochać.

Powracałem do niej co wieczór; nie przychodziło mi nawet do głowy, by ją poprosić, żeby pokazała mi swą sypialnię, ani tym bardziej, by zapytać, jak spodobały się Jakubowi nasze meble. Nie pragnąłem niczego więcej, prócz tej niekończącej się narzeczńskiej bliskości naszych ciał wyciągniętych przy kominku i mego własnego bezruchu płynącego z obawy, by nieopatrzny ruchem nie spłoszyć szczęścia.

Lecz Marta, która rozkoszowała się tym samym, myślała, że jest w swym uczuciu odosobniona. Moje



szczęśliwe rozleniwienie brała za obojętność. Przekonana, że jej nie kocham, sądziła, że jeżeli nie zrobi nic, by przywiązać mnie do siebie, jej milczący salon znuży mnie szybko.

Nie odzywaliśmy się. Dla mnie było to dowodem szczęścia.

Czułem się tak bliski Marty, tak pewny, że myślimy o tym samym, iż mówienie wydałoby mi się rzeczą równie absurdalną, jakbym miał mówić głośno, kiedy jestem sam. To milczenie przygnębiało biedaczkę. Najrozsądniej było więc może uciec się do środków porozumienia tak prostackich jak słowo czy gest, przy całym żalu, że nie istnieją subtelniejsze.

Widząc, iż z każdym dniem coraz głębiej pograżam się w rozkoszną niemotę, Marta myślała, że coraz bardziej się nudzę. Była gotowa na wszystko, byle tylko mnie rozerwać.

Rozpuściwszy włosy lubiła spać przy ogniu. Czy raczej ja tylko myślałem, że śpi. Sen był dla niej pretekstem, by objąć mnie za szyję, a gdy się już obudziła, z wilgotnymi oczami, mówiła mi, że śniło jej się coś smutnego. Nigdy nie chciała opowiedzieć mi, co. Korzystałem z jej niby-snu, by wdychać zapach jej włosów, szyi, rozognionych policzków, które muskałem leciutko, żeby jej nie zbudzić; pieśczoły, które nie są wcale, jak zwykle się sądzić, dobrą monetą miłości, lecz przeciwnie, jej monetą najbardziej wyszukaną, jaką posługuje się tylko

namiętność. Mnie się wydawało, że nasza przyjaźń pozwala mi na nie. Zaczynała mnie jednak ogarniać rozpacz, że tylko miłość daje nam prawo do kobiety. Mogę się obejść bez miłości, myślałem, ale nigdy bez prawa do Marty. By je zdobyć, zdecydowany byłem nawet na miłość, choć wydawało mi się, że z wielkim żalem. Pożądałem Marty i nie rozumiałem tego.

Kiedy tak spała z głową wspartą o moje ramię, pochylałem się nad nią, by widzieć jej twarz okoloną płomieniami. Było to igranie z ogniem. Któregoś dnia pochylałem się zbyt blisko, choć moja twarz nie dotknęła jeszcze jej twarzy, stało się ze mną to, co z igłą, gdy o milimetr przekroczy zakazaną strefę i dostanie się we władzę magnesu. Czy to wina magnesu, czy igły? W ten właśnie sposób poczułem jej usta pod moimi. Oczy miała jeszcze zamknięte, lecz jak ktoś, kto już nie śpi. Pocałowałem ją, zdumiony własną zuchwałością, gdy tymczasem w rzeczywistości to ona, gdy pochylałem się nad nią, przyciągnęła moją twarz. Obydwoma rękami uchwyciła się mojej szyi; nawet tonący nie uczyniłby tego z większą mocą. I nie wiedziałem, czy chce, bym ją uratował, czy też bym utonął z nią razem.

Potem usiadła, położyła sobie moją głowę na kolanach i gładząc mnie po włosach powtarzała bardzo cicho:

— Musisz odejść, nie powinienes tu więcej wracać.

Nie śmiałem mówić jej po imieniu; kiedy nie miałem już innego wyjścia, długo dobierałem słowa i tak układałem zdania, by nie zwracać się do niej bezpośrednio, bo choć nie potrafiłem zdobyć się na mówienie jej po imieniu, czułem, że jeszcze bardziej nie potrafiłbym powiedzieć do niej „pani”. Piekły mnie łzy. Byłem pewien, że gdyby któraś upadła Marcie na rękę, usłyszałbym krzyk. Wyrzuciłem sobie, że zerwałem urok, że byłem szalony, by dotykać ustami jej ust, i zapomniałem, że to ona mnie pocałowała. „Musisz odejść, nie powinienes tu więcej wracać”. Łzy wściekłości mieszały się ze łzami żalu. Tak samo pochwyconego wilka równie męczy własna wściekłość, co sidła. Gdybym się był odezwał, obrzuciłbym Martę obelgami. Moje milczenie zaniepokoiło ją; brała je za dowód rezygnacji. Wydawało mi się — byłem niesprawiedliwy, ale chyba niepozbawiony przenikliwości — że myśli: „Trudno, niech cierpi, i tak jest już za późno”. Chociaż leżałem przy ogniu, trząsałem się z zimna, szczękałem zębami. Z prawdziwym bólem, dzięki któremu przestawałem być dzieckiem, mieszały się jeszcze uczucia dziecinne. Byłem widzem, który nie chce wyjść, gdyż nie podoba mu się zakończenie sztuki. Powiedziałem:

— Nie pójdę. Zadrwiła sobie pani ze mnie. Nie chcę pani więcej widzieć.

Bo nie tylko nie chciałem wracać do rodziców, ale także nie chciałem widzieć więcej Marty. Najchętniej bym ją wypędził z jej domu!

Lecz ona łkała:

— Jesteś dziecko! Nie rozumiesz, że jeżeli mówię ci, żebyś sobie poszedł, to dlatego, że cię kocham.

Odpowiedziałem jej z nienawiścią, że rozumiem doskonale, iż ma obowiązki i że jej mąż jest na wojnie.

Potrząsnęła głową:

— Dopóki cię nie poznałam, byłam szczęśliwa, wydawało mi się, że kocham mojego narzeczonego. Wybaczalam mu, że nie bardzo mnie rozumie. To ty pokazałeś mi, że go nie kocham. Moim obowiązkiem jest nie to, co myślisz. Nie to, żeby nie kłamać mężowi, lecz to, żeby nie kłamać tobie. Odejdź i nie myśl, że jestem zła; niedługo o mnie zapomnisz. Aleja nie chcę, żebyś miał być przeze mnie nieszczęśliwy. Płaczę, bo jestem dla ciebie za stara!

To wyznanie miłosne było wzniosłe przez to, iż tak dziecinne. I niezależnie od tego, jakie będą moje późniejsze uczucia, nigdy już nie będzie się mogło powtórzyć to prześliczne wzruszenie, jakie

budził widok dziewiętnastoletniej dziewczyny płaczącej, że jest za stara.

Smak pierwszego pocałunku rozczarował mnie, jak owoc, którego kosztujemy po raz pierwszy. Nie nowościom, lecz przyzwyczajeniu zawdzięczamy najwięcej przyjemności. W parę minut później nie tylko przyzwyczałem się do ust Marty, ale nie mogłem się już bez nich obejść. I wówczas właśnie powiedziała, że pozbawi mnie ich na zawsze.

Tego wieczora Marta odprowadzała mnie aż do domu. Żeby lepiej czuć jej bliskość, wtulałem się pod jej pelerynę i obejmowałem ją wpół. Nie mówiła już, że nie powinniśmy się więcej widywać, przeciwnie, mówiła, że smutno jej na myśl, iż mamy się rozstać. Musiałem przysięgać jej tysiące niemydłych rzeczy.

Kiedy znaleźliśmy się przed domem rodziców, nie chciałem puszczać Marty z powrotem samej i odprowadziłem ją znowu. Ta dziecinada nigdy by się pewnie nie skończyła, bo potem znów Marta chciała mnie odprowadzić. Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że zawróci od połowy drogi. Spóźniłem się pół godziny na obiad. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Powiedziałem, że pociąg się spóźnił. Ojciec udał, że mi wierzy.

Nic już mi teraz nie ciążyło. Chodziłem po ulicach równie lekki jak we snach.

Aż do tej pory musiałem zawsze wyrzekać się wszystkiego, czego pożądałem jako dziecko. Z drugiej zaś strony obowiązek wdzięczności psuł mi przyjemność otrzymywania zabawek. Jakiż urok miałyby dla dziecka zabawka, która ofiarowywałaby się sama! Byłem pijany namiętnością. Marta była moja; to nie ja tak powiedziałem, to ona. Mogłem dotykać jej twarzy, całować jej oczy, ramiona, ubierać ją, popsuć, wedle mojej woli. Nieprzypadkiem gryzłem ją tam, gdzie skóra jest odsłonięta, aby matka posądzała ją, że ma kochankę. Gdybym mógł, wycisnąłbym tam swoje inicjały. W dziecinnej dzikości odkrywałem stary sens tatuażu. „Gryź mnie, zaznacz mnie, żeby wszyscy wiedzieli” – mówiła Marta.

Pragnąłem móc całować jej piersi. Nie śmiałem jej o to poprosić, gdyż myślałem, że ofiaruje mi je sama, tak jak usta. Po kilku dniach jednak tak nawykłem do jej ust, że nie pożądałem innych rozkoszy.

Kiedy przychodziłem, czytaliśmy razem przy kominku. Marta wrzucała tam często listy, które mąż przysyłał jej co dzień z frontu. Ich zaniepokojony ton świadczył, że Marta musiała pisywać do niego coraz mniej czule i coraz rzadziej. Widok tych płonących listów był mi niemiły. Podsycały na chwilę ogień i bałem się, że zobaczę pewne rzeczy zbyt jasno.

Marta, która teraz często pytała mnie, czy to prawda, że pokochałem ją od razu, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wyrzucała mi, że nie powiedziałem jej tego przed ślubem. Twierdziła, że nie byłaby wyszła za mąż, gdyż jeżeli nawet w początkach narzeczeństwa odczuwała dla Jakuba coś w rodzaju miłości, to później, kiedy na skutek wojny zaczęło przeciągać się zbyt długo, miłość zniknęła powoli z jej serca. Wychodząc za Jakuba nie kochała go już. Miała nadzieję, że dwutygodniowy urlop, jaki wtedy dostał, odmieni może jej uczucia.

Lecz Jakub był niezręczny. Ten, kto kocha, drażni zawsze tego, kto nie kocha. A on kochał ją

coraz bardziej. Jego listy były listami człowieka, który cierpi, był jednak zbyt wysokiego mniemania o swojej Marcie, by posądzać ją o zdradę. Oskarżał więc samego siebie i błagał tylko, by napisała, co jej zrobił złego: „Przy tobie czuję się tak gruboskórny, wiem, że każde moje słowo cię razi”. Marta odpowiadała mu tylko, że się myli, że nie ma mu nic do wyrzucenia.

Był początek marca. Wiosna w tym roku była wczesna. Kiedy Marta nie towarzyszyła mi do Paryża, w peniuarze narzuconym na nagie ciało czekała, aż wrócę z lekcji rysunków, wyciągnięta przed kominkiem, gdzie paliła nadal drzewem oliwnym od teściów. Poprosiła, by uzupełnili jej zapasy. Nie wiem, co za nieśmiałość — chyba że to była nieśmiałość, jaką odczuwamy zawsze, gdy mamy zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie robiliśmy — powstrzymywała mnie. Przychodził mi na myśl Dafnis. W tym przypadku Chloe była już trochę wtajemniczona, lecz Dafnis nie śmiał jej prosić, by wtajemniczyła jego także. Czy nie uważałem Marty raczej za dziewicę wydaną w ciągu pierwszych dwóch tygodni małżeństwa na łup obcego człowieka, który kilkakrotnie wziął ją siłą?

Wieczorem, sam w łóżku, przyzywałem Martę, robiłem sobie wyrzuty — ja, który uważałem się za mężczyznę — że nie jestem nim w stopniu wystarczającym, by zrobić z niej wreszcie moją kochankę.



Codziennie idąc do niej obiecywałem sobie, że nie wyjdę, dopóki nią nie zostanie.

W marcu 1918, kiedy skończyłem szesnaście lat, Marta, błagając mnie, żebym się nie pogniewał, ofiarowała mi peniuar podobny do jej własnego i chciała, żebym włożył go u niej. Z radości omal że po raz pierwszy w życiu nie ułożyłem kalamburu. Oto moja szata praetexta! Gdyż miałem wrażenie, iż to właśnie lęk przed śmiesznością — ja byłem ubrany, a ona nie — krępował mnie dotąd. W pierwszej chwili postanowiłem przebrać się zaraz. Potem zaczerwieniłem się, pojąwszy, ile w tym prezencie było wyrzutu.

Od początku naszej miłości Marta dała mi klucz do swego mieszkania, żebym nie musiał czekać na nią w ogrodzie, gdyby przypadkiem wyszła do miasta. Mogłem posłużyć się tym kluczem w sposób mniej niewinny. Była sobota. Żegnając się z Martą obiecałem, że przyjdę nazajutrz na drugie śniadanie. Postanowiłem jednak wrócić do niej jeszcze tego samego wieczora, jak najwcześniej.

Przy obiedzie powiedziałem rodzicom, że wybieram się nazajutrz z Reném na wycieczkę do lasu Sénart. Mieliśmy wyruszyć o piątej rano. Ponieważ o tej porze cały dom jeszcze śpi, mogłem być pewien, że nikt nie będzie wiedział, o której wyszedłem i czy spędziłem noc w domu, czy nie.

Ledwo jednak powiedziałem o moim zamiarze, matka postanowiła przygotować mi koszyk z prowiantem. Byłem skonsternowany, ten koszyk niszczył cały romantyzm i niezwykłość mego postępu. Ja, który już z góry rozkoszowałem się przestraczem Marty, kiedy zjawię się nagle w jej sypialni, wyobraziłem sobie teraz, jak wybuchnie śmiechem na widok księcia z bajki z koszykiem na zakupy. Na

próżno zapewniałem matkę, że René obiecał zająć się wszystkim, nie chciała słuchać. Dalszy upór obudziłby jej podejrzenia.

To, co jest nieszczęściem dla jednych, byłoby szczęściem dla drugich. Widziałem pełen pożądania wzrok moich braci, kiedy matka szykowała koszyk, z góry psujący moją pierwszą noc miłosną. Pomyślałem, by dać go im po kryjomu, ale kiedy by już wszystko zjedli, nawet perspektywa lania nie powstrzymałaby ich od wydania mnie dla samej przyjemności zrobienia mi na złość.

Ponieważ żaden schowek nie wydawał się dostatecznie pewny, nie pozostawało mi nic innego jak pogodzić się z losem.

Przysiągłem sobie, że nie wyjdę przed północą, żeby mieć pewność, że rodzice już śpią. Usiłowałem czytać. Kiedy jednak w merostwie wybiła dziesiąta, a rodzice byli już od jakiegoś czasu w łózkach, nie miałem siły dłużej czekać. Rodzice sypiali na pierwszym piętrze, ja na parterze. Butów nie kładłem, żeby jak najciszej przejść przez mur. W jednej ręce miałem więc buty, w drugiej koszyk, niebezpieczny ze względu na butelki, i trzymając to wszystko ostrożnie otworzyłem tylne drzwi wyjściowe. Padał deszcz. Tym lepiej, deszcz zagłuszył odgłosy. Zobaczywszy, że w sypialni rodziców jeszcze się świeci, o mało nie zawróciłem. Ale już byłem w drodze. Ponieważ padało, musiałem włożyć buty;

jeden środek ostrożności odpadł. Teraz trzeba było przejść przez mur, żeby nie zadźwięczał dzwonek przy furtce. Podeszedłem do muru, pod którym ustawiłem po obiedzie krzesło ogrodowe, żeby ułatwić sobie ucieczkę. Na szczycie muru były dachówki. Od deszczu zrobiły się śliskie. Kiedy się ich uczepiłem, jedna spadła. Złakłem się tak, że hałas wydał mi się dziesięciokrotnie większy. Musiałem teraz skoczyć na ulicę. Koszyk trzymałem w zębach; wpadłem do kałuży. Przez długą chwilę stałem patrząc w okno rodziców, żeby się przekonać, czy nikt się tam nie pojawi. Okno pozostało puste. Byłem uratowany!

Droga do Marty prowadziła nad Marną. Liczyłem, że schowam koszyk w krzakach i nazajutrz wyjmę. Okazało się to jednak niebezpieczne, bo była wojna. W jednym miejscu, gdzie rosły krzaki i można było schować koszyk, stał wartownik pilnujący mostu w J. Długo się wahałem, bledszy od spiskowca podkładającego dynamit. W końcu jednak schowałem wiktuały.

Furtka u Marty była zamknięta. Wyjąłem klucz, który zostawiano zawsze w skrzynce do listów. Na palcach przeszedłem przez ogródek, wszedłem na ganek. Zanim ruszyłem po schodach, zdjąłem buty.

Marta była taka nerwowa! Może zemdleje na mój widok. Drżałem; nie mogłem trafić kluczem do dziurki. Wreszcie przekręciłem klucz powoli, żeby

nie obudzić nikogo. W przedpokoju wpadłem na stojak do parasoli. Bałem się, żeby zamiast na przełącznik nie trafić na dzwonek. Szedłem po omacku aż do sypialni. Znów ogarnęła mnie chęć ucieczki. Może Marta nie wybaczy mi nigdy? A jeżeli przekonam się nagle, że mnie zdradza, jeżeli zastanę ją z innym mężczyzną? Otworzyłem drzwi. Szepnąłem:

— Marto!

Odpowiedziała:

— Zamiast mnie tak nastraszyć, mogłeś przyjść dopiero rano. Więc dostałeś urlop o tydzień wcześniej?

Brała mnie za Jakuba!

Otóż, jeżeli przy tej okazji dowiedziałem się, w jaki sposób byłaby go przyjęła, dowiedziałem się także, że ukrywała już coś przede mną. Więc Jakub miał przyjechać za tydzień!

Zapaliłem światło. Leżała twarzą do ściany. Najprościej było powiedzieć: „To ja”, a jednak milczałem. Pocałowałem ją w szyję.

— Jesteś mokry. Wytrzyj sobie twarz!

Odwróciła się i krzyknęła.

Wyraz jej twarzy zmienił się w jednej sekundzie i nie usiłując nawet wytłumaczyć sobie mojej nocnej wizyty zawołała:

— Ależ ty się zaziębisz, kochanie! Rozbierz się prędko!

Pobiegła rozniecić ogień w salonie. Kiedy wróciła do sypialni, a ja się nie ruszałem, zapytała:

— Pomóc ci?

Ja, który najbardziej bałem się chwili, kiedy będę musiał się rozbierać, i z góry już wyobrażałem sobie jej śmieszność, błogosławiłem deszcz, dzięki któremu to rozbieranie zmieniło się w czynność macierzyńską. Marta wychodziła co chwila z pokoju, wracała i znów szła do kuchni, żeby zobaczyć, czy woda na grog dla mnie już gorąca. Wreszcie zastała mnie nagiego w łóżku, do połowy przykrytego puchową kołderką. To szaleństwo tak leżeć nago, ofuknęła; natrze mnie zaraz wodą kolońską.

Potem otworzyła szafę i rzuciła mi strój nocny. „Powinien być akurat dobry”. Nocny strój Jakuba! Pomyślałem, że ten żołnierz doskonale mógł się tu zjawić, skoro Marta wzięła mnie za niego.

Leżałem w łóżku. Marta położyła się koło mnie. Poprosiłem, żeby zgasiła światło. Nawet w jej ramionach lękałem się mojej nieśmiałości. Ciemność dodałaby mi odwagi.

— Nie — odparła łagodnie Marta. — Chcę patrzeć, jak będziesz zasypiał.

Na te słowa pełne wdzięku poczułem pewne skrzępowanie. Były dla mnie dowodem wzruszającej dobroci tej kobiety, która wszystko stawiała na jedną kartę, by zostać moją kochanką, ale nie domyślając się mojej chorobliwej nieśmiałości

przypuszczała, że potrafię zasnąć obok niej. Od czterech miesięcy mówiłem, że ją kocham, a nie dawałem jej dowodu, którym mężczyźni tak szafują i który często zastępuje im samą miłość. Zgasilem światło siłą.

Czułem podobny niepokój jak przed chwilą, zanim wszedłem do Marty. Lecz jak oczekiwanie przed drzwiami, tak samo i to drugie nie mogły trwać zbyt długo. Zresztą moja wyobraźnia obiecywała sobie takie rozkosze, że aż przestawałem je ogarniać. Zląkłem się podobieństwa do męża i tego, że zostawię Marcie złe wspomnienie o naszych pierwszych chwilach miłosnych.

Było jej więc lżej niż mnie. Jednak ten moment, gdy rozluźniliśmy uścisk, i cudowne oczy Marty warte były mojej udręki.

Twarz jej przeistoczyła się. Dziwiłem się nawet, że nie mogę dotknąć aureoli, która naprawdę otaczała jej głowę jak na świętych obrazach.

Uwolniony od jednych obaw, odczuwałem teraz inne.

Pojąwszy bowiem wreszcie wagę gestów, których moja nieśmiałość wzbraniała mi dotąd, drżałem teraz, że Marta należy do męża o wiele bardziej, niż twierdziła.

Ponieważ nie potrafię ogarnąć w pełni tego, co smakuję po raz pierwszy, rozkosz miłosna miała być dla mnie z każdym dniem głębsza.

Na razie ta niespodziewana przyjemność przyniosła mi ze sobą prawdziwy ból męski: zazdrość.

Miałem żal do Marty, gdyż jej twarz, pełna wdzięczności, pozwoliła mi zrozumieć, ile znaczy więź cielesna. Przeklinałem mężczyznę, który przede mną obudził jej ciało. Zrozumiałem, jak byłem głupi myśląc o Marcie jak o dziewicy. W każdym innym czasie życzyć śmierci jej mężowi byłoby dziecinną chimera, lecz obecnie życzenie to stawało się niemalże taką samą zbrodnią, jak gdybym go zabił. Wojnie zawdzięczałem narodziny mego szczęścia; od niej oczekiwałem jego apoteozy. Miałem nadzieję, że przysłuży się mojej nienawiści, jak anonim zamiast nas dokonujący zbrodni.

Teraz płaczemy razem; to wina szczęścia. Marta wyrzuca mi, że dopuściłem do jej małżeństwa. Lecz gdybym do niego nie dopuścił, czy leżałbym w tym łóżku, które sam wybierałem? Mieszkałaby u rodziców; nie moglibyśmy się widywać. Nie byłaby nigdy należała do Jakuba, lecz nie należałaby też do mnie. Gdyby nie on, nie mając możliwości porównania może żałowałaby teraz i spodziewała się czegoś więcej. Nie nienawidzę Jakuba. Nienawidzę pewności, że wszystko zawdzięczam temu człowiekowi, którego oszukujemy oboje. Ale za bardzo kocham Martę, by uznać naszą miłość za występpek.



Płacemy razem, że jesteśmy tylko dwojgiem dzieci, które niczym nie dysponują. Porwać Martę! Ponieważ nie należy do nikogo prócz mnie, znaczyłoby to porwać ją samemu sobie, gdyż rozłączono by nas. Już teraz myślimy o końcu wojny jako o końcu naszej miłości. Wiemy, że tak będzie, i na próżno Marta przysięga mi, że porzuci wszystko i pójdzie za mną — nie jestem naturą skłoną do buntu i gdy stawiam się w położeniu Marty, nie potrafię wyobrazić sobie tego szalonego kroku. Marta tłumaczy mi, dlaczego uważała, że jest dla mnie za stara. Za lat piętnaście życie dla mnie będzie się dopiero zaczynać, inne kobiety, mające tyle lat co ona teraz, będą mnie kochać. „Nie pozostawałoby mi nic prócz cierpienia — dorzucą. — Nie przeżyłabym, gdybyś mnie porzucił. Ale gdybyś został, wiedziałabym, że to tylko przez słabość, i cierpiałabym, że poświęcasz mi swoje szczęście”.

Oburzyłem się, a jednocześnie byłem zły, że nie wyglądam na dostatecznie pewnego, iż będzie inaczej. Lecz Marta za wszelką cenę pragnęła zdobyć tę pewność i nawet najsłabsze moje argumenty brała za dobrą monetę. „Tak, tak, nie pomyślałam o tym — odpowiedziała. — Wiem, że mówisz prawdę”. Ja wobec tych obaw Marty nie czułem się taki pewien. Toteż pocieszałem ją dość miękko. Oponowałem jakby przez uprzejmość. Mówiłem: „Alez skądże znowu, jesteś szalona!”

Niestety, zbyt czuły byłem na młodość, by nie przewidywać, że zubożnięję dla Marty, kiedy jej młodość zacznie więdnąć, gdy tymczasem moja znajdzie się w pełni rozkwitu.

Choć wydawało mi się, że moja miłość osiągnęła już kształt ostateczny, była dopiero zarysem miłości. Przy najłżejszej przeciwności słabła.

I tak szaleństwa, jakim oddawały się tej nocy nasze dusze, zmęczyły nas bardziej niż szaleństwa ciała. Jedne zdawały się przynosić ulgę po drugich, w rzeczywistości dopełniały się tylko. Zaczynało pisać coraz więcej kogutów. Piali zresztą całą noc. Uświadomiłem sobie, że jest to tylko poetyckie kłamstwo: koguty pieją o wschodzie słońca. Nie było w tym nic niezwykłego. Mojemu wiekowi obca jest bezsenność. Lecz Marta zauważyła to również, i z takim zdziwieniem, że na pewno było to po raz pierwszy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego przytuliłem ją do siebie tak mocno: jej zdziwienie było dla mnie dowodem, że nigdy jeszcze nie spędziła z Jakubem nocy bezsenne.

Moje obawy i niepokoje skłaniały mnie do uznania naszej miłości za wyjątkową. Skłonni jesteśmy sądzić, że to my pierwsi doznajemy pewnych uczuć, nie zdajemy sobie sprawy, że z miłością jest tak jak

z poezją i że wszyscy kochankowie, nawet najbardziej mierni, uważają, iż wymyślili coś nowego. Kiedy mówiłem do Marty (nie wierząc w to zresztą, lecz po to, by miała wrażenie, że podzielam jej trwogi): „Opuścisz mnie kiedyś, spodobają ci się inni”, odpowiadała, że siebie jest pewna. Ja z mojej strony zaczynałem dochodzić powoli do wniosku, że też pozostanę jej wierny, nawet kiedy nie będzie już młoda, gdyż — leniwy z natury — uzależniałem ostatecznie wieczne trwanie naszego szczęścia od jej energii.

Leżeliśmy nadzy i tak zaskoczył nas sen. Kiedy się obudziłem, widząc, że jest odkryta, zląkłem się, żeby nie zmarzła. Przesunąłem dłonią po jej ciele. Było gorące. Możliwość patrzenia na nią, gdy spała, sprawiła mi rozkosz z niczym nieporównaną. Po paru minutach ta rozkosz wydała mi się nie do zniesienia. Pocałowałem Martę w ramię. Nie obudziła się. Drugi pocałunek, mniej niewinny, podzielał równie gwałtownie jak budzik. Poderwała się i przetarłszy oczy obsypała mnie pocałunkami, jak kogoś, kogo kochamy i odnajdujemy obok siebie, gdy tymczasem śniło nam się, że umarł. Jej zresztą śniło się podobno tak, jak było, i po obudzeniu znalazła mnie przy sobie.

Była już jedenasta. Piliśmy czekoladę, kiedy rozległ się dzwonek. Pomyślałem natychmiast, że to Jakub: „Byle tylko miał przy sobie broń”. Ja, który tak bałem się śmierci, nie drżałem teraz. Przeciwnie,

zgodziłbym się, żeby to był Jakub, byle tylko zabił nas oboje. Każde inne rozwiązanie wydawało mi się śmieszne.

Spokój w obliczu śmierci liczy się tylko wtedy, gdy rozważamy ją dla nas samych. Śmierć we dwoje przestaje być śmiercią, nawet dla niewierzących. Nie to boli, że mamy rozstać się z życiem, lecz że mamy rozstać się z tym, co nadaje mu sens. Kiedy nasze życie to miłość, cóż za różnica żyć razem czy razem umrzeć.

Nie zdążyłem uznać się za bohatera, gdyż myśl, że Jakub zabije może tylko Martę lub tylko mnie, pozwoliła mi zmierzyć mój egoizm. Czy na pewno wiedziałem, który z tych dwóch dramatów był gorszy?

Ponieważ Marta nie ruszała się, pomyślałem, że omyliłem się widać i że dzwonek był do sąsiadów. Lecz rozległ się ponownie.

— Cicho, nie ruszaj się szepnęła Marta. — To pewno moja matka. Zupełnie zapomniałam, że miała do mnie wstąpić po mszy.

Rozkoszowałem się, że mogę być świadkiem jednego z jej poświęceń. Gdy tylko kochanka czy też przyjaciel spóźniają się o parę minut na spotkanie, wyobrażam sobie od razu, że umarli. Przypisując podobne uczucia jej matce delektowałem się jej lękiem i tym, że to ja byłem jego sprawcą. Usłyszeliśmy, jak po krótkiej rozmowie (pani Grangier pytała widać na parterze, czy nie widzieli jej córki

tego ranka) furtka w ogródku otworzyła się i zamknęła. Marta wyjrzała spoza okiennic i powiedziała:

— Tak, to ona.

Nie mogłem odmówić sobie tej przyjemności i ja także popatrzyłem na panią Grangier, jak odchodziła, z książką do nabożeństwa w ręce, zaniepokojona niezrozumiałą nieobecnością córki. Obejrzała się jeszcze na zamknięte okiennice.

Teraz, kiedy osiągnąłem już wszystko, czego po-  
żądałem, czułem, że robię się niesprawiedliwy.  
Niemile dotknięty, że Marta bez skrupulów okła-  
mała matkę, wyrzucałem jej, że potrafi kłamać. A  
przecież miłość, która jest egoizmem we dwoje,  
wszystko sobie podporządkowuje i żyje kłam-  
stwem. Ten sam demon kazał mi robić Marcie wy-  
rzuty, że zataiła przede mną wiadomość o spodzie-  
wanym przyjeździe męża. Dotąd poskramiałem mój  
despotyzm, gdyż nie czułem się w prawie rządzić  
Martą. Chwilami miękkłem. Jęczałem: „Znienawi-  
dzisz mnie niedługo. Jestem taki sam brutal jak  
twój mąż”. — „On nie jest brutal” — odpowiadała.  
Wówczas zaczynałem w najlepsze od nowa: „Ach  
tak, więc oszukujesz rias obu, proszę bardzo, po-  
wiedz mi, że go kochasz, ciesz się: za tydzień bę-  
dziesz mogła mnie z nim zdradzać!”

Gryzła wargi, płakała: „Co ja ci zrobiłam, że je-  
steś taki niedobry? Błagam cię, nie psuj pierwszego  
dnia naszego szczęścia”. — „Niezbyt wielka musi  
być twoja miłość, jeżeli dopiero dzisiejszy dzień  
uważasz za pierwszy dzień szczęścia”.

Takie ciosy ranią tego, kto je zadaje. Nie myśla-  
łem wcale tak, jak mówiłem, a jednak czułem

potrzebę, by to mówić. Nie potrafiłem wytłumaczyć Marcie, że moja miłość wzrasta. Widocznie osiągała teraz wiek niewdzięczny i to okrucieństwo to była mutacja miłości stającej się namiętnością. Cierpiałem. Błagałem Martę, żeby puściła w niepamięć moją napastliwość.

Służąca właścicieli wsunęła listy pod drzwi. Marta wzięła je. Dwa były od Jakuba. Jako odpowiedź na moje wątpliwości rzuciła mi:

— Zrób z nimi, co chcesz.

Poczułem wstyd. Poprosiłem, żeby je przeczytała, ale zachowała ich treść dla siebie. Ulegając jednemu z tych odruchów, które każą nam postępować, jak najbardziej prowokacyjnie, Marta podarła jedną kopertę. Szło to ciężko, list musiał być długi. Znow zacząłem robić jej wyrzuty. To wyzwanie rozgniewało mnie, wiedziałem, że będzie je sobie potem wyrzucać. Opanowałem się jednak i nie chcąc, by podarła drugi list, nie powiedziałem jej, że po tej scenie nie może już uchościć w moich oczach za dobrego człowieka. Na moją prośbę przeczytała list. To, że podarła pierwszy, mogło być odruchem, gorzej jednak, że przeczytawszy drugi, powiedziała:

— Niebo nas wynagradza, że nie podarliśmy tego listu. Jakub pisze, że urlopy na jego odcinku zostały wstrzymane i nie przyjedzie wcześniej niż za miesiąc.

Tylko miłość może usprawiedliwić takie wykroczenie przeciw dobremu smakowi.



Ten mąż zaczynał mnie krępować bardziej, niż gdyby był na miejscu i trzeba było uważać. List od niego nabierał nagle znaczenia jakiejś zjawy. Drugie śniadanie zjedliśmy późno. Koło piątej poszliśmy nad rzekę. Marta była zdumiona, gdy przed nosem wartownika wyciągnąłem z kępy traw koszyk z prowiantem. Historia z koszykiem ubawiła ją. Teraz nie bałem się już jej groteskowego charakteru. Szliśmy przytuleni, nie uświadamiając sobie, że zachowujemy się nieprzyzwoicie. Trzymaliśmy się za ręce. Ta pierwsza słoneczna niedziela zaroila się od spacerowiczów w słomkowych kapeluszach, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Znajomi Marty nie mieli odwagi powiedzieć jej „dzień dobry”, ona jednak, nie zdając sobie sprawy z niczego, pozdrawiała ich w prostocie ducha. Uznali to na pewno za fanfaronadę. Wypytywała mnie, jak wymknąłem się z domu. Z początku śmiała się, potem jednak spochmurniała; z całych sił ściskając rękę palce dziękowała mi, że narażałem się dla niej na tyle niebezpieczeństw. Zawróciliśmy, żeby zostawić u niej koszyk. W myślach przeznaczałem temu koszykowi koniec godny jego przygód: wysyłkę na front. Pomysł był tak drastyczny, że zachowałem go dla siebie.

Marta chciała iść brzegiem Marny aż do La Varrenne. Obiad mieliśmy zjeść naprzeciw Wyspy

Miłości. Obiecałem Marcie, że jej pokażę muzeum Écu de France, pierwsze muzeum, jakie zwiedziłem w dzieciństwie i które mnie olśniło. Opowiadałem o nim Marcie jako o czymś bardzo interesującym. Kiedy stwierdziliśmy, że to muzeum to farsa, nie chciałem przyznać się, że pomyliłem się tak bardzo. Więc wszystko brałem za dobrą monetę, nożyce Fulberta, wszystko! Oświadczyłem Marcie, że to był z mojej strony tylko żart. Nie mogła zrozumieć, gdyż na ogół nie byłem skłonny do żartów. To niemiłe wydarzenie nastroiło mnie melancholijnie. Mówiłem sobie: „Kto wie, czy miłość Marty, w którą tak wierzę dzisiaj, nie wyda mi się kiedyś zwykłą pułapką jak muzeum Écu de France?”

Często bowiem wątpiłem ojej miłości. Zastanawiałem się, czy nie jestem dla niej sposobem zabicia czasu, kaprysem, którego wyrzeknie się, gdy tylko skończy się wojna i będzie musiała wrócić do swych obowiązków. Jednak, mówiłem sobie, są chwile, kiedy usta, oczy nie mogą kłamać. Tak, zapewne. Ale i ludzie najdalsi od szczodrobliwości, kiedy się upiją, wpadają w gniew, jeżeli ktoś nie chce przyjąć od nich zegarka czy portfela. I są wtedy równie szczerzy, jak bywają w normalnym stanie. Chwile, kiedy człowiek nie potrafi kłamać, to są właśnie te, kiedy kłamie najbardziej, przede wszystkim samemu sobie. Wierzyć kobiecie „w chwili gdy nie potrafi kłamać”, to wierzyć w

falszywą szczodrobliwą skąpcą.

Moja przenikliwość była tylko bardziej niebezpieczną formą naiwności. Uważałem się za mniej naiwnego, niż byłem, gdy tymczasem byłem po prostu naiwny w inny sposób, bo żaden wiek nie wymknie się naiwności. Nawet starość. Moja rzekoma przenikliwość kazała mi wszystko widzieć czarno, wątpić o Marcie. Przede wszystkim jednak wątpiłem o sobie, uważałem, że nie jestem jej godny. I żadne dowody miłości z jej strony nie mogłyby sprawić, abym czuł się mniej nieszczęśliwy.

Zbyt dobrze wiedziałem, ilu rzeczy nie wyjawia się nigdy tym, których się kocha, z obawy, by nie wydać się dziecinny, lękałem się więc, że i Marta zna tę bolesną wstydlivość, i cierpiałem, że nie mogę poznać do dna jej myśli.

Wróciłem do domu o wpół do dziesiątej. Rodzice wypytawali mnie, jak udała się wycieczka. Opisywałem im z entuzjazmem las w Sénart i paprocie, dwa razy takie duże jak ja. Wspomniałem też o Brunoy, uroczym miasteczku, gdzie zjedliśmy drugie śniadanie.

— A wiesz — przerwała mi nagle szyderczo matka — René był tu dziś o czwartej i bardzo się zdziwił,

jak się dowiedział, że wybraliście się razem na daleki spacer.

Poczerwieniałem z gniewu. Ta historia, i wiele innych, przekonała mnie, że mimo pewnych skłonności nie jestem jednak stworzony do kłamstwa. Zawsze dam się złapać. Rodzice nie dorzucili już ani słowa. Triumfowali skromnie.

Mój ojciec sprzyjał zresztą nieświadomie mojej pierwszej miłości. Cieszyło go, że — niezależnie od tego, w jaki sposób — daję dowód wczesnej dojrzałości. Poza tym bał się zawsze, bym nie wpadł w ręce jakiejś złej kobiety. Był więc rad, że pokochała mnie porządna dziewczyna. Obruszył się dopiero wówczas, kiedy przekonał się, że Marta myśli o rozwodzie.

Matka spoglądała na nasz stosunek mniej przychylnym okiem. Była zazdrosna. Patrzyła na Martę oczami rywalki. Uważała ją za antypatyczną i nie zdawała sobie sprawy, że każda kobieta, jaką bym pokochał, już dla tego samego byłaby jej również antypatyczna. Poza tym matka bardziej niż ojciec zwracała uwagę na opinię. Dziwiła się, że Marta może się kompromitować z chłopcem w moim wieku. Matka wychowała się w F. We wszystkich tych małych miastach, będących przedmieściami Paryża, o ile nie są to przedmieścia robotnicze, panuje ten sam nienasycony głód plotek co na prowincji. Lecz sąsiedztwo Paryża nadaje tym plotkom i domysłom charakter jeszcze ostrzejszy. Nikomu nie wolno też zapominać o swojej pozycji. Ponieważ

byłem kochankiem kobiety, której mąż walczył na froncie, moi koledzy, pod naciskiem rodziców, odsuwali się powoli ode mnie. Znikali w porządku hierarchicznym: od syna notariusza poczynając, a na synu naszego ogrodnika kończąc. Mnie wydawało się to hołdem, lecz matka czuła się tym dotknięta. Bolała, że jestem zgubiony z winy kobiety szalonej. Na pewno wyrzucała ojcu, że poznał mnie z nią i że przymyka oczy. Ponieważ jednak uważała, że to ojciec powinien działać, a ojciec milczał, więc i ona milczała.

Każdą noc spędzałem teraz u Marty. Przychodziłem o wpół do jedenastej, wychodziłem rano o piątej lub o szóstej. Nie przeskakiwałem już przez mur. Drzwi otwierałem własnym kluczem, lecz ta prostota działania wymagała jednak pewnej ostrożności. Żeby dzwonek nie obudził domowników owijałem go wieczorem watą. Zdejmowałem ją rano, wracając.

W domu nikt nie zauważył, że znikam; inaczej było w J. Już od jakiegoś czasu gospodarze i starsze małżeństwo spoglądali na mnie dosyć krzywo i ledwo odpowiadali na moje ukłony.

Rano, o piątej, żeby robić jak najmniej hałasu, schodziłem bez butów. Wkładałem je dopiero na dole. Któregoś ranka spotkałem na schodach chłopca z mleczarni. On niósł bańki z mlekiem; ja moje buty. Powiedział mi „dzień dobry” ze straszliwym uśmiechem. Marta była zgubiona. Wiedziałem, że mleczarz rozgada to po całym J. Mogłem kupić jego milczenie, lecz nie zrobiłem tego, bo nie wiedziałem jak.

Po południu nie miałem odwagi powiedzieć o tym Marcie. Zresztą i bez tego była już skompromitowana, i to od dawna. Plotki zrobiły z niej moją

kochankę na długo przedtem, nim została nią w rzeczywistości. Lecz my nie zdawaliśmy sobie sprawy z niczego. Wkrótce jednak mieliśmy się przekonać. Pewnego dnia zastałem Martę zgnębioną. Gospodarz powiedział jej, że od czterech dni śledził mnie, jak wychodziłem o świcie. Z początku nie chciał wierzyć, ale teraz nie ma już żadnych wątpliwości. Starsze małżeństwo, którego sypialnia znajdowała się pod sypialnią Marty, uskarżało się, że słycać nas dniem i nocą. Marta była zdruzgotana, chciała wyjechać. O tym, żebyśmy się zachowywali trochę ostrożniej, nie było mowy. Czuliśmy, że nie potrafimy: nasze obyczaje weszły nam już w krew. Dopiero teraz Marta zaczynała rozumieć te rzeczy, których nie umiała sobie dotąd wytłumaczyć. Jedyna przyjaciółka, którą kochała naprawdę, młoda Szwedka, nie odpowiadała na jej listy. Dowiedziałem się, że znajomy, z którym korespondowała ta dziewczyna, widział nas kiedyś w pociągu przytulonych do siebie i poradził jej, żeby zerwała z Martą.

Uzyskałem od Marty obietnicę, że gdyby doszło do jakiejś dramatycznej sceny, czy to między nią a rodzicami, czy też między nią a mężem, będzie stanowcza. Pogrożki gospodarza i plotki krążące po mieście kazały mi jednocześnie obawiać się i mieć nadzieję, że między Martą a Jakubem dojdzie do zasadniczej rozmowy.



Marta błagała mnie, żebym odwiedzał ją często w czasie urlopu Jakuba, któremu mówiła już o mnie. Nie chciałem, bo bałem się, że nie utrzymam się w roli i że nie zniosę widoku Marty w towarzystwie mężczyzny otaczającego ją względami. Urlop miał trwać jedenaście dni. Jakub miał nadzieję, że może uda mu się przedłużyć go jakoś o dwa dni. Kazałem Marcie przysiąc, że będzie do mnie co dzień pisać. Żeby mieć pewność, że zastanę jej list, odczekałem trzy dni, zanim poszedłem na pocztę. Listów było cztery. Nie mogłem ich jednak odebrać: brakowało mi jednego z koniecznych dokumentów. Wprawilo mnie to w tym większe zakłopotanie, że sfalszowałem w zaświadczeniu datę urodzenia, gdyż z poste restante wolno było korzystać dopiero od osiemnastu lat. Nie odchodziłem jednak od okienka; miałem ochotę sypnąć pieprzu w oczy urzędnicze i wyrwać jej listy, których nie miała zamiaru mi wydać. Wreszcie, ponieważ mnie tam znano, udało mi się uzyskać tyle, że listy miały być odesłane następnego dnia moim rodzicom.

Stanowczo wiele mi jeszcze brakowało, żeby być prawdziwym mężczyzną. Otwierając pierwszy list od Marty, zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób wybrnęła z tego karkołomnego przedsięwzięcia:

napisać list miłosny. Zapomniałem, że ze wszystkich rodzajów sztuki epistolarnej ten właśnie jest najłatwiejszy: wystarczy po prostu kochać. Listy Marty wydały mi się zachwycające, godne najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek czytałem. A przecież Marta mówiła mi w nich o rzeczach zwyczajnych i o tym, jaką torturą jest dla niej rozłąka.

Dziwiłem się, że zazdrość tak mało daje mi się we znaki. Jakub zaczynał odgrywać w moich oczach tradycyjną rolę „małżonka”. Powoli zapomniałem, że jest młody, i widziałem w nim starca.

Nie pisywałem do Marty; byłoby to zbyt ryzykowne. W gruncie rzeczy byłem raczej zadowolony, że nie musiałem do niej pisać, gdyż — jak przed wszystkim, co nowe — i przed tym odczuwałem lęk, że nie będę umiał i że moje listy mogłyby wydać się jej niezręczne czy naiwne.

Przez niedbałość zostawiłem po dwóch dniach list od Marty na stole. Znikł, a nazajutrz zjawił się tam znowu. Było mi to nie na rękę; skorzystałem bowiem z urlopu Jakuba i z tego, że dużo przesiadywałem teraz w domu, by dać do zrozumienia rodzicom, że moje stosunki z Martą rozluźniły się. O ile bowiem z początku brawurowałem, by rodzice dowiedzieli się, że mam kochankę, o tyle teraz wolałem, aby mieli mniej tego dowodów. Tymczasem ojciec poznał prawdziwą przyczynę mego przykładowego trybu życia.

Skorzystałem z wolnego czasu i znów zacząłem chodzić do szkoły rysunku, od dawna już bowiem Marta służyła mi jako jedyna modelka do aktów. Nie wiem, czy ojciec domyślał się tego, w każdym razie monotonia modelu wywoływała jego ironiczne zdziwienie, które przyprawiało mnie o rumieniec. Wróciłem więc do Grande-Chaumière i pracowałem gorliwie, by uzbierać sobie zapas studiów aż do końca roku, zapas, który zamierzałem uzupełnić za następnym pobytym męża Marty.

Zobaczyłem się także z Reném, usuniętym z Henryka IV. Chodził do Ludwika Wielkiego. Czekałem na niego co wieczór po wyjściu z Grande-Chaumière. Widywaliśmy się po kryjomu, gdyż od czasu, gdy usunięto go ze szkoły, a zwłaszcza od czasu Marty, jego rodzice, którzy niegdyś widzieli we mnie dobry przykład, zabronili mu zadawać się ze mną.

René, który miłość uważał raczej za zawadę, pokpiwał z mojej namiętności. Miałem dosyć jego docinków i powiedziałem mu tchórzliwie, że nie kocham Marty naprawdę. Jego podziw dla mnie, który osłabł w ostatnich czasach, wzrósł natychmiast.

Moja miłość do Marty zaczynała usypiać. Najbardziej męczył mnie post narzucony zmysłom. Moje rozdrażnienie było rozdrażnieniem pianisty

pozbawionego fortepianu, palacza pozbawionego papierosów.

René, który wyśmiewał się z mojej uczuciowości, sam był jednak także zajęty pewną kobietą; wydawało mu się, że jego stosunek do niej wolny jest od miłości. To urocze zwierzątko — jasnowłosa Hiszpanka—było tak gibkie, że musiało chyba pochodzić z cyrku. René, który udawał dezynwolturę, był bardzo zazdrosny. Na pół ze śmiechem, a na pół przy tym blednąc, błagał mnie, bym oddał mu dziwną przysługę. Był to pomysł typowo uczniowski. René chciał wiedzieć, czy ta kobieta by go zdradziła. Miałem więc zacząć umizgać się do niej, by mógł się o tym przekonać.

Ta prośba wprowadziła mnie w zakłopotanie. Moja nieśmiałość znów brała górę. Za nic jednak nie chciałem wydać się nieśmiały, a poza tym damulka sama położyła kres memu zakłopotaniu. Poczyniła mi awanse tak piorunujące, że nieśmiałość, która nie pozwala na pewne rzeczy, zmusza zaś do innych, nie pozwoliła mi uszanować Renégó i Marty. Miałem przynajmniej nadzieję, że znajdę w tym jakąś przyjemność, ale okazało się, że jestem jak palacz przyzwyczajony do jednego gatunku papierosów. Pozostały więc jedynie wyrzuty, że oszukałem Renégó; przysięgłem mu, że jego kochanka opiera się wszelkim zakusom.

Względem Marty nie odczuwałem żadnych wyrzutów. Zmuszałem się do nich. Na próżno jednak mówiłem sobie, że nie wybaczyłbym jej nigdy, gdyby mnie zdradziła. „To nie to samo”, podsuwał mi w odpowiedzi płaski egoizm. Podobnie nie widziałem nic karygodnego w tym, że nie pisuję do Marty, gdyby jednak ona nie napisała do mnie, uznałbym to za dowód, że mnie nie kocha. Małe przemieszczenie, jakiego się dopuściłem, umocniło jednak na powrót moje uczucie.

Jakub nie pojmował zachowania żony. Marta, raczej rozmowna z natury, nie odzywała się do niego ani słowem. Kiedy ją pytał: „Co ci jest?”, odpowiadała: „Nic”.

Pani Grangier robiła biedakowi sceny. Zarzucała mu niezręczność w postępowaniu, ubolewała, że dała mu córkę za żonę. To właśnie niezręczności Jakuba przypisywała nagłą zmianę w usposobieniu córki. Oświadczyła, że zabierze ją z powrotem do siebie. Jakub ustąpił. W parę dni po przyjeździe przeniósł się z Martą do jej matki, która ulegając najmniejszym kaprysom córki wzmacniała przez to nieświadomie jej miłość do mnie. Marta urodziła się w tym domu. Każdy drobiazg, mówiła Jakubowi, przypominał jej tu szczęśliwe czasy, kiedy należała do siebie. Miała spać w swoim panieńskim pokoju. Jakub chciał, żeby wstawiono tam drugie łóżko dla niego. Wywołał tym atak nerwowy. Marta odmówiła: nie chciała bezcześcić swego dziewiczego pokoiku.

Pan Grangier uznał tę wstydlivość za absurd. Pani Grangier skorzystała z okazji, by powiedzieć mężowi i zięciowi, że nie mają żadnego zrozumienia dla delikatności uczuć kobiecych. Pochlebiała jej, że dusza córki w tak małej mierze należy do Jakuba. Uważała bowiem, że wszystko, czego Marta

pozbawia Jakuba, przypada jej, i skrupuły córki wydawały jej się niezwykle subtelne. Były takie, ale w odniesieniu do mnie.

Pozorując szczególnie złe samopoczucie, Marta domagała się niekiedy spaceru. Jakub wiedział, że nie po to, by mieć przyjemność przejść się w jego towarzystwie. Ponieważ nie mogła powierzyć nikomu listów do mnie, sania wrzucała je na pocztę.

Moje przymusowe milczenie odpowiadało mi tym bardziej, że gdybym mógł do niej napisać, to w odpowiedzi na opisy tortur, jakie zadawała mężowi, byłbym ujął się za ofiarą. Chwilami przerażało mnie zło, którego byłem sprawcą; kiedy indziej znów mówiłem sobie, że nie ma dla Jakuba dostatecznej kary za to, że wziął mi jej dziewictwo. Ponieważ jednak nic nie przeciwdziała „sentymentalizmowi” równie skutecznie jak namiętność, byłem, koniec końców, uszczęśliwiony, że nie mogę pisać do Marty i że wobec tego nadal będzie dręczyć Jakuba.

Wyjechał zgnębiony.

Rozdrażnienie Marty przypisywano denerwującej samotności, w jakiej żyła. Gdyż tylko jej rodzice i mąż nie wiedzieli o naszym związku, gospodarze nie śmieli bowiem nic powiedzieć Jakubowi przez szacunek dla munduru. Pani Grangier cieszyła się, że odzyskała córkę i że wróci ona do panieńskiego trybu życia. Jakież było zdumienie Grangierów,

kiedy po wyjeździe Jakuba Marta oświadczyła, że wraca do J.

Spotkałem się tam z nią jeszcze tego samego dnia. Z początku wyrzucałem jej miękko, że była taka niedobra dla męża. Kiedy jednak przeczytałem pierwszy list od Jakuba, ogarnął mnie popłoch. Pisał, jak łatwo będzie mu znaleźć śmierć, jeżeli Marta go już nie kocha.

Nie dojrzałem w tym „szantażu”. Pojąłem tylko, że spada na mnie odpowiedzialność za śmierć ludzką, niepomny, że tej śmierci kiedyś pragnąłem. Moje postępowanie stało się jeszcze bardziej niezrozumiałe i niesprawiedliwe. Z każdej strony czyhało na nas cierpienie. Na próżno Marta powtarzała mi, że bardziej po ludzku byłoby nie podsycać nadziei Jakuba, to ja zmuszałem ją, by odpisywała mu łagodnie. To ja dyktowałem jego żonie jedyne czułe listy, jakie od niej dostał. Pisząc je buntowała się i płakała, lecz groziłem jej, że więcej nie przyjdę, jeżeli mnie nie posłucha. To, że Jakub mnie właśnie zawdzięczał jedyne chwile radości, jakich zaznał, łagodziło nieco moje wyrzuty sumienia.

Nadzieja przepelniająca listy, którymi odpowiadał na nasze, uświadomiła mi, jak bardzo powierchowne były jego zamiary samobójcze.

Podziwiałem mój stosunek do Jakuba, gdy tymczasem kierował mną egoizm i lęk, by nie mieć zbrodni na sumieniu.



Po okresie dramatycznym nastąpił okres szczęśliwy. Niestety uczucie tymczasowości nie znikło. Źródłem jego była moja młodość i słabość. Niczego nie chciałem naprawdę: ani uciec od Marty, która zapomniałaby o mnie może i wróciła na drogę obowiązku, ani popchnąć Jakuba ku śmierci. Związek nasz był więc na łasce i niełasce końca wojny i definitywnego powrotu żołnierzy z frontu. Jeżeli Jakub wypędzi żonę, zostanie ona dla mnie. Jeżeli ją zatrzyma, nie czułem się zdolny odebrać mu jej siłą. Nasze szczęście było zamkiem z piasku. Jednak godzina przyływu nie była wiadoma, miałem więc nadzieję, że nastąpi jak najpóźniej.

Jakub urzeczony listami Marty, bronił teraz żony przed matką, niezadowoloną z jej powrotu do J. Ten powrót, zwłaszcza że czuła się nim urażona, obudził zresztą w pani Grangier pewne podejrzenia. Jedna jeszcze rzecz wydawała jej się podejrzana: ku wielkiemu zgorszeniu rodziny własnej i męża Marta nie chciała trzymać służby. Cóż jednak mogli działać jedni i drudzy rodzice, gdy Jakub, któremu za pośrednictwem Marty podsuwałem odpowiednie argumenty, stał się naszym sprzymierzeńcem?

Wówczas to J. otworzyło na nią ogień.

Gospodarze przestali się do niej odzywać. Nikt się jej nie kłaniał. Tylko sprzedawcy, ze względów profesjonalnych, okazywali się nieco łaskawszy. To też odczuwając czasem potrzebę zamienienia paru słów Marta zatrzymywała się trochę dłużej w sklepach. Czasem, gdy wychodziła po mleko i ciastka i po pięciu minutach nie było jej z powrotem, wyobrażałem sobie, że wpadła pod tramwaj, i biegłem pędem do mleczarni czy do cukierni. Zastawałem ją na rozmowie. Wściekły, że dałem ponieść się nerwowemu lękowi, wybuchałem, ledwo wyszliśmy. Wyrzucałem jej, że ma pospolite upodobania, że znajduje przyjemność w rozmowach ze sprzedawcami. Ci zaś nie znosili mnie, gdyż przerywałem im w pół słowa.

Etykieta dworska jest dosyć prosta, jak wszystko, co szlacheckie. Trudno jednak o coś równie zagadkowego, jak przepisy towarzyskie małomieszczan. Obłęd hierarchiczny opiera się w nich przede wszystkim na wieku. Nic nie mogłoby się wydać bardziej szokujące, niż gdyby stara księżna pierwsza pozdrowiła młodego księcia. Można sobie wyobrazić, z jaką nienawiścią cukiernik czy mleczarka spoglądali na smarkacza, który przerywał im pogaduszki z Martą. Dzięki tym rozmowom gotowi byli znaleźć dla niej sto usprawiedliwień.

Gospodarze Marty mieli dwudziestodwuletniego syna. Przyjechał na urlop. Marta zaprosiła go na herbatę.

Wieczorem usłyszeliśmy podniesione głosy: zabroniono mu odwiedzin u lokatorki. Przyzwyczajony, że ojciec nie zakładał nigdy sprzeciwu przeciw temu, co robiłem, najbardziej ze wszystkiego zdziwiony byłem posłuszeństwem tego mydłka.

Wychodząc nazajutrz spotkaliśmy go w ogródku, jak kopał. Niewątpliwie za karę. Trochę mimo wszystko zażenowany, odwrócił głowę, żeby uniknąć konieczności powiedzenia mi dzień dobry.

Marta odczuwała boleśnie te drobne ukłucia. Wystarczająco inteligentna i wystarczająco zakochana, by zdawać sobie sprawę, że szacunek sąsiadów nie stanowi o szczęściu, była jak ci poeci, którzy wiedzą, że prawdziwa poezja jest rzeczą „przekłątą”, lecz mimo tej pewności cierpią, jednak czasem nie otrzymując poklasku, którym gardzą.

W tym, co mi się przydarza, zawsze ma udział jakiś radny miejski. Pan Marin, który mieszkał pod Martą, siwobrody starzec o szlachetnej postawie, był niegdyś radnym miejskim J. Opuścił to stanowisko przed samą wojną i z przyjemnością służył nadal ojczyźnie, gdy trafiała się po temu sposobność. Na ogół ograniczał się jednak do potępiania gospodarki komunalnej i żył w odosobnieniu razem z żoną, a wizyty przyjmował i składał tylko koło Nowego Roku.

Od kilku dni na dole panował niezwykle ruch, z naszej sypialni słyszeliśmy wyraźnie każdy odgłos. Froterowano podłogę. Służąca, z pomocą służącej gospodarzy, czyściła srebra w ogrodzie i doprowadzała do połysku zaśnieżone żyrandole. Od mleczarki dowiedzieliśmy się, że pod jakimś tajemniczym pretekstem Marinowie urządzają raut-niespodziankę. Pani Marin zaprosiła mera i wyblagała u niego przydział ośmiu litrów mleka. Czy da też pozwolenie mleczarce na zrobienie śmietany?

Kiedy uzyskano już konieczne zezwolenia i nadszedł dzień wizyty (był to piątek), o umówionej godzinie zjawilo się kilkanaście miejscowych

znakomitości z małżonkami, z których każda była założycielką i przewodniczącą jakiegoś stowarzyszenia matek karmiących lub komitetu niesienia pomocy rannym, gdy tymczasem inne były jego członkiniami. Aby rzecz wypadła „stylowo”, gospodyni witała gości przed domem. Skorzystała z tajemniczego wabika i swojemu przyjęciu nadała charakter pikniku. Wszystkie przybyłe panie głosiły hasło oszczędzania i układały przepisy kulinarne. Przyniosły więc w podarku ciasta robione bez mąki, kremy na porostach itd. Każda z nowo przybyłych mówiła do pani Marin: „Och! na wygląd to nic nadzwyczajnego, ale wydaje mi się, że powinno być dobre”.

Pan Marin ze swej strony chciał wykorzystać to przyjęcie, by urobić grunt pod zamierzony „powrót do życia politycznego”.

Otóż niespodzianką, jaką szykowali dla gości Marinowie, mieliśmy być my, Marta i ja. Dowiedziałem się tego dzięki miłosiernej niedyskrecji kolegi, z którym dojeżdżałem, a który był synem jednego z zaproszonych notablów. Proszę sobie wyobrazić moje osłupienie na wiadomość, że rozrywką Marinów było podsłuchiwanie nad wieczorem odgłosów z naszej sypialni.

Polubili to widać i chcieli podzielić się tą przyjemnością z innymi. Jako ludzie godni szacunku, swoje bezwstydną postępowanie usprawiedliwiali

oczywiście troską o moralność. Chcieli, by wszyscy co znamienitsi obywatele miasta podzielili ich oburzenie i protest.

Goście się zebrali. Pani Marin wiedziała, że jestem u Marty, i ustawiła stół pod jej sypialnią. Nie mogła się doczekać rozpoczęcia przedstawienia. Najchętniej byłaby się zabawiła w reżysera i dała znak. Dzięki niedyskrecji młodego człowieka, który uprzedził nas, by zakpić sobie z rodziny, a także przez solidarność młodości, tego dnia zachowywaliśmy się cicho. Nie śmiałem powiedzieć Marcie, jaki był cel pikniku. Wyobrażałem sobie zdetonowaną minę pani Marin, jej oczy utkwione we wskazówki zegara i niecierpliwość gości. Wreszcie koło siódmej zaproszone stadła wyniosły się nic nie skorzystawszy, mrużąc pod nosem, że Marinowie to oszuści, a biedny pan Marin, który miał lat siedemdziesiąt, to parweniusz. Ten przyszły radny obiecywał Bóg wie co i nie czekał nawet z niedotrzymaniem obietnic, aż zostanie wybrany. Co się zaś tyczy pani Marin, panie orzekły, że urządziła przyjęcie po to, by wyłudzić od nich dobre rzeczy. Sam mer we własnej osobie zjawił się na parę minut; te parę minut i osiem litrów mleka dały powód do szeptów, że łączą go bardziej niż zażyłe stosunki z córką Marinów, nauczycielką szkoły powszechnej. Małżeństwo panny Marin wywołało niegdyś ogromne zainteresowanie, gdyż uznano za rzecz wielce niestosowną,

by nauczycielka wychodziła za mąż za zwykłego policjanta.

Posunąłem złośliwość do tego stopnia, że dałem państwu Marin usłyszeć to, co oni pragnęli dać usłyszeć innym. Martę zdziwiły te spóźnione zapaly miłosne. Mimo że bałem się zrobić jej przykrość, nie mogłem jednak wytrzymać dłużej i powiedziałem, jaki był cel przyjęcia. Uśmieliśmy się razem do łez.

Pani Marin, która być może spoglądałaby na nas wyrozumiałym okiem, gdybyśmy nie pokrzyżowali jej planów, nie darowała nam swej klęski. Zniemawiała nas. Nie mogła jednak zaspokoić swej nienawiści, gdyż nie miała jak, a nie śmiała uciec się do anonimów.

Był maj. Rzadziej odwiedzałem teraz Martę i zostawałem u niej na noc tylko wtedy, gdy mogłem wymyślić w domu jakieś kłamstwo, by nie wracać rano. Wymyślałem je raz lub dwa razy na tydzień. Dziwiłem się tylko, że mi się to zawsze udaje. W rzeczywistości ojciec nie wierzył mi wcale. Z rozpaczliwą wyrozumiałością przymykał oczy pod tym tylko warunkiem, żeby ani moi bracia, ani służba nie dowiedziały się niczego. Wystarczyło więc, iż zapowiedziałem, że wyjdę o piątej, tak jak wtedy, gdy miałem wybrać się do lasu. Tyle tylko, że matka, nie szykowała mi już koszyka.

Ojciec znosił wszystko, a później nagle buntował się, wyrzucał mi moje lenistwo. Te sceny wybuchały i cichły szybko jak fale.

Nic nie absorbuje bardziej niż miłość. Zakochany nie jest próżniakiem, gdyż sam fakt, że jest zakochany, oznacza już, że próżnuje. Miłość czuje niejasno, iż jedynym, co potrafi od niej oderwać, jest praca. Toteż uważają za rywala. A nie uznaje rywali. Lecz miłość to lenistwo dobroczynne, tak jak drobny deszcz, który użyźnia ziemię.



Jeżeli młodzież jest nijaka, to dlatego, że za mało próżnowała. Słabą stroną naszych systemów wychowawczych jest to, że dostosowują się do przeciętnych, ci bowiem przeważają. Dla otwartego umysłu nie istnieje lenistwo. Nigdy nie nauczyłem się tyle, co w owe długie dni, które postronnym mogły wydać się puste, dni, kiedy poddawałem bacznej uwadze moje niedoświadczone serce, tak jak parweniusz baczy na każdy swój gest przy stole.

Kiedy nie sypiałem u Marty, to znaczy prawie co dzień, wybieraliśmy się po obiedzie nad Marnę i zostawialiśmy tam do jedenastej. Odwizałem łódź ojca. Marta wiosłowała, ja leżałem z głową na jej kolanach. Kępowało to jej ruchy. Za każdym razem, gdy niechcący trąciła mnie wiosłem, uświadamiałem sobie, że ta przejażdżka nie będzie trwała całe życie.

Miłość domaga się, byśmy dzielili się błogością, jaką nas napęła. I tak na przykład kochanka z natury dość chłodna robi się pieszczotliwa, całuje nas w szyję i przeszkadza nam czule, kiedy piszemy list. Nigdy nie miałem takiej ochoty całować Marty, jak wówczas gdy — czymś zajęta — nie zwracała na mnie uwagi; nigdy nie chciało mi się tak bardzo dotykać jej włosów, burzyć ich, jak kiedy się czesała. W łódce rzucałem się na nią, zasypywałem ją pocałunkami, aż wreszcie musiała odłożyć wiosła, a łódź znoszona prądem dostawała się w niewolę

wodorostów, białych i żółtych nenufarów. Marta przyjmowała te wybuchy jako wyraz niepokromionej namiętności, kiedy tymczasem była to przede wszystkim uporczywa chęć przeszkadzania, nad którą nie sposób zapanować. Przywiązywaliśmy łódkę pod osłoną krzaków. Lęk, że ktoś nas zobaczy lub że łódź się wywróci, ustokrotniał dla mnie rozkosz miłosnych igraszek.

Nie uskarżałem się więc na nieprzychylność gospodarzy, która utrudniała mi odwiedzanie Marty.

Moja, nazwijmy to, idée fixe, by posiadać ją tak, jak Jakub nigdy jej nie posiadał, by całować ją, upewniwszy się najpierw przysięgą, że nigdy żadne usta prócz moich nie dotknęły jej w tym miejscu, była zwykłą rozpustą. Czy przyznawałem się do tego przed sobą? Każda miłość ma swój wiek młodzińczy, dojrzały i starość. Czy doszedłem do tego ostatniego stadium, kiedy sama miłość, bez pewnego wyszukania, już nie wystarcza? Gdyż jeżeli rozkosz zasadzała się dla mnie na przyzwyczajeniu, to właśnie te nic nieznaczące drobiazgi, leciutkie korektury przyzwyczajenia ożywiały ją. Tak samo narkoman osiąga ekstazę nie poprzez zwiększanie dawek, które prędko mogłyby stać się śmiertelne, lecz poprzez zmienny ich rytm, który sam sobie

wynajduje bądź to zmieniając godziny, bądź też uciekając się do wybiegu, by zmylić organizm.

Tak polubiłem lewy brzeg Marny, że często udawałem się na drugi, tak odmienny, po to, żeby móc przyglądać się temu, który lubiłem. Prawy brzeg, nie tak łagodny, jest domeną ogrodników i rolników, gdy tymczasem mój należy do próżniaków. Przywiązywaliśmy łódkę do drzewa i kładliśmy się w zbożu. Falowało na wieczornym wietrze. Nasz egoizm, nie zważając na szkody, jakie wyrządzał po kryjomu, poświęcał zboże miłosnej wygodzie, tak jak poświęcaliśmy jej Jakuba.

Aura tymczasowości podniecała moje zmysły. To, że zakosztowałem już rozkoszy bardziej brutalnych, bardziej zbliżonych do tych, jakich doznaje się bez miłości, z pierwszą lepszą, osłabiało smak innych.

Doceniałem już, ile wart jest cnotliwy i swobodny sen, przyjemność leżenia samemu w chłodnej pościeli. Zasłaniając się względami ostrożności, nie spędzałem nocy u Marty. Podziwiałem moją siłę charakteru. Bałem się też rozdrażnienia, w jakie wprawia nas rzekomo anielski głosik kobiet, kiedy przy obudzeniu, zdają się — komediantki z natury — co dzień powracać z zaświatów.

Wyrzucałem sobie mój krytycyzm, moje wybiegi i rozmyślałem po całych dniach, czy kocham Martę bardziej, czy mniej niż przedtem. Moja miłość wszystkiemu nadawała inny sens. Tak samo jak fałszywie tłumaczyłem sobie słowa Marty, przekonany, że odkrywam ich głębsze dno, tak samo interpretowałem jej milczenia. I zawsze mylnie, bo gdy trafiamy celnie, jakieś wewnętrzne drgnięcie, którego nie sposób opisać, uprzedza nas o tym.

Zarówno rozkosz, jak i trwoga, jakich doznawałem, były silniejsze. Ogarniająca mnie niespodziewanie, kiedy leżałem obok Marty, chęć, by znaleźć się w łóżku samemu, w domu rodziców, była dla mnie przedsmakiem koszmaru wspólnego pożycia. Z drugiej strony nie potrafiłem wyobrazić sobie życia bez Marty. Cudzołóstwo zaczynało się mścić.

Miałem pretensje do Marty, że jeszcze nim zaczęła się nasza miłość, zgodziła się umeblować mieszkanie Jakuba według mojego upodobania. Znienawidziłem te meble, które wybierałem z myślą nie o własnej przyjemności, lecz o tym, by zrobić na złość Jakubowi. Teraz czułem się nimi bez przyczyny zmęczony. Żałowałem, że nie pozwoliłem Marcie wybrać ich samej. Oczywiście z początku nie byłyby mi się podobały, lecz jaki urok miałyby później osvajanie się z nimi przez miłość dla niej. Byłem zazdrosny, że przypadło to w udziale Jakubowi.

Kiedy mówiłem do niej z goryczą: „Mam nadzieję, że jak zamieszkamy razem, nie zostawimy tych mebli”, Marta spoglądała na mnie w naiwnym zdumieniu. Każde moje słowo miało dla niej moc wyroku. Przekonana, iż zapomniałem, że to ja sam wybierałem te meble, nie śmiała mi o tym, przypomnieć. Bolała, iż zapominam tak szybko.

W pierwszych dniach czerwca Marta dostała od Jakuba list, w którym wreszcie mówił jej nie tylko o swej miłości. Był chory. Miano przewieźć go do szpitala w Bourges. Na wiadomość o tym ucieszyłem się, nie dlatego że był chory, lecz dlatego iż fakt, że wreszcie miał coś konkretnego do powiedzenia, sprawił mi ulgę. Miał przejeżdżać przez J. nazajutrz lub za dwa dni i błagał Martę, żeby wypatrywała jego pociągu na stacji. Marta pokazała mi ten list. Czekąca na rozkaz.

Miłość dawała jej naturę niewolnicy. Ponieważ z góry wiedziałem, że nie posłucha, trudno mi było nakazywać czy zakazywać. Według mnie moje milczenie znaczyło, że się zgadzam. Czy mogłem jej zabronić paru sekund rozmowy z mężem? Ona również milczała. Na zasadzie tego niemego porozumienia nie poszedłem do niej nazajutrz.

Następnego dnia rano przyszedł posłaniec z listem, który miał oddać mnie do rąk. List był od Marty. Czekąca na mnie nad wodą. Błagała, żebym przyszedł, jeżeli kocham ją jeszcze.

Aż do ławki, na której czekała na mnie, biegłem. Sposób, w jaki mnie przywitała, zupełnie odmienny

w tonie od listu, zmroził mnie. Wyobrażałem sobie, że przestała mnie kochać.

Tymczasem Marta wzięła po prostu moje milczenie sprzed dwóch dni za wrogię. Żadne milczące porozumienie nie przyszło jej do głowy. Po chwilach trwogi przyszedł teraz żal do mnie, że żyję, gdyż tylko śmierć mogła usprawiedliwić to, że nie odwiedziłem jej wczoraj. Patrzyłem na nią osłupiały. Wyjaśniłem moją powściągliwość, szacunek dla jej obowiązków wobec chorego Jakuba. Uwierzyła mi, ale niezupełnie. Zirytowało mnie to. Omal nie powiedziałem: „Kiedy raz wreszcie ja mówię prawdę, to ty...” Popłakaliśmy się.

Jeżeli jeden z partnerów nie położy im kresu, to zawikłane rozgrywki szachowe ciągną się w nieskończoność, wyczerpują. Postępowanie Marty wobec Jakuba nie świadczyło o niej zbyt dobrze. Uściskałem ją, ukołysałem.

— Milczenie — powiedziałem — nie wychodzi nam na dobre.

Postanowiliśmy nic nie ukrywać przed sobą; kiedy obiecywałem Marcie to, było mi trochę żal, iż wierzy, że to możliwe.

Na dworcu w J. Jakub wypatrywał Marty, a ponieważ pociąg przejeżdżał koło ich domu, zobaczył, że okiennice były otwarte. Napisał list, w którym błagał, żeby Marta rozproszyła jego obawy. Prosił, by przyjechała do Bourges.

— Musisz pojechać — powiedziałem tak, by w tych prostych słowach nie zadźwięczał wyrzut.

— Pojadę — odparła — jeżeli i ty ze mną pojedziesz.

Było to nieuświadomienie sobie sytuacji posunięte już nazbyt daleko. Jednak najbardziej nawet rażące słowa czy postęпки Marty, po pierwszym odruchu gniewu, budziły we mnie wdzięczność, bo świadczyły o miłości. Obruszyłem się najpierw. Zapanowałem nad sobą. Zwróciłem się do niej łagodnie, wzruszony jej naiwnością. Potraktowałem ją jak dziecko, które prosi o księżyc.

Wytłumaczyłem jej, jak dalece byłoby to niemoralne, gdybym jej towarzyszył. Ponieważ mówiłem spokojnie, a nie jak obrażony kochanek, efekt był tym mocniejszy. Po raz pierwszy usłyszała z moich ust słowo „moralność”. Zjawiło się jak najbardziej w porę; dobra z natury, na pewno nieraz już, jak i ja, przeżywała wątpliwości co do moralnej strony naszego uczucia. Gdybym nie powiedział tego słowa, mogłaby uważać mnie za amoralnego, gdyż mimo buntu przeciw doskonałym przesądom mieszczańskim było w niej wiele z mieszczyki. Skoro jednak przestrzegałem ją teraz po raz pierwszy, był to dowód? że dotąd uważałem, iż nie robimy nic złego.

Marcie żal było tej ryzykownej niby poślubnej podróży ze mną. Uświadomiła jednak sobie, jak dalece była ona niemożliwa.



— Więc pozwól mi chociaż tam nie jechać — powiedziała.

Rzucone bez zastanowienia słowo „moralność” czyniło mnie teraz jej przewodnikiem duchowym. Korzystałem z tego jak despota, upajający się nowym zakresem władzy. Siła najdobitniej objawia się Wtedy, kiedy używamy jej w zły sposób. Odparłem więc, że nie widzę żadnej zbrodni w tym, by nie jechała do Bourges. Wynałazłem powody, które ją przekonały: zmęczenie podróżą, bliska już rekonwalescencja Jakuba. Powody te usprawiedliwiały ją jeżeli nie w oczach Jakuba, to przynajmniej wobec jego rodziny.

Kierując Martą tak, jak mnie to odpowiadało, urabiałem ją powoli na mój obraz i podobieństwo. Wyrzucałem to sobie, jak też i to, że świadomie niszczę nasze szczęście. Fakt, że staje się do mnie podobna i że jest to moim dziełem, zachwycał mnie i gniewał. W nim widziałem źródło naszego ścisłego porozumienia. W nim też domyślałem się przyczyn naszych przyszłych klęsk. I rzeczywiście, zarażałem ją powoli własnym niezdecydowaniem, które nie pozwoli jej podjąć żadnej decyzji w dniu, kiedy będzie to konieczne. Czulem, że jak ja ręce ma bezwładne i ufa tylko, że morze oszczędzi nasz zamek z piasku, kiedy tymczasem inne dzieci przezornie budują go dalej.

Zdarza się czasem, że podobieństwo duchowe przenosi się i na wygląd fizyczny. Na sposób patrzenia, poruszania się — obcy ludzie niejednokrotnie brali nas za rodzeństwo. Istnieją w nas zarodki podobieństw, które rozwijają się, pod wpływem miłości. Gest, intonacja głosu zdradzają kochanków, najbardziej nawet ostrożnych.

Należy założyć, że jeżeli serce md swoje racje obce rozumowi, to dlatego że ten mniej kieruje się rozumem niż serce. Prawdopodobnie każdy z nas jest Narcyzem zakochanym we własnym obliczu i nienawidzącym go jednocześnie, lecz obojętnym na każde inne. Właśnie instynkt wyszukiwania podobieństw prowadzi nas w życiu i woła „stój!” przy zetknięciu z jakimś krajobrazem, kobietą, wierszem. Inne możemy podziwiać, ale nie doznajemy tego wstrząsu. Instynkt doboru na zasadzie podobieństwa stanowi jedyną naturalną linię naszego postępowania. Każda inna jest sztuczna. Lecz w społeczeństwie tylko jednostki przeciętne i pospolite mogą poszukiwać zawsze podobnych sobie nie grzesząc przy tym pozornie przeciw moralności. Niektórzy mężczyźni uparcie trzymają się „blondynek”, nie wiedząc, że często najgłębsze podobieństwa są najbardziej ukryte.

Od paru dni Marta wydawała mi się czymś zaprzątnięta, lecz pogodna. Gdyby była przy tym smutna, mógłbym to sobie wytłumaczyć zbliżaniem się piętnastego lipca, daty, kiedy miała spotkać się z Jakubem i jego rodziną nad La Manche, gdzie miał spędzić okres rekonwalescencji. Teraz z kolei Marta milczała uparcie i wzdrygała się na dźwięk mego głosu. Znosiła rzeczy nie do zniesienia: wizyty rodzinne, afronty, uszczypliwe aluzje matki i dobrotliwe aluzje ojca, który posądzał ją o kochanka, sam w to nie wierząc.

Dlaczego znosiła to wszystko? Czy był to skutek moich pouczeń i zarzutów, że zbyt wiele wagi przywiązuje do drobiazgów, że zbyt się nimi przejmuje? Wydawała się szczęśliwa, lecz szczęściem dziwnym, doskwierającym i niemiłym mi, gdyż go nie dzieliłem. Ja, który uważałem za dziecinadę to, że Marta dopatrywała się w moim milczeniu dowodów obojętności, sam oskarżałem ją teraz, że mnie nie kocha, gdyż milczy.

Marta nie miała odwagi powiedzieć mi, że jest w ciąży.

Pragnąłem wydać się uszczęśliwiony tą nowiną. W pierwszej chwili czułem się jednak przede

wszystkim zdumiony. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że mogę być odpowiedzialny za cokolwiek, a tymczasem teraz byłem odpowiedzialny za najgorsze. Gniewało mnie także, że nie jestem na tyle mężczyzną, by uznać rzecz całą za normalną. Marta przyznała mi się niechętnie. Drżała, by chwila, która miała nas zbliżyć, nie rozłączyła nas. Udałem radość tak dobrze, że jej lęk się rozwiął. Zachowała w sobie głębokie ślady moralności mieszczkańskiej, i to dziecko było dla niej dowodem, że Bóg nagradza naszą miłość, że nie karze jej jako występnej.

Dla Marty ciąża była teraz źródłem wiary, że nie opuszczę jej nigdy, dla mnie zaś była źródłem konsternacji. Wydawało mi się to niemożliwe, niesprawiedliwe, abyśmy w naszym wieku mieli dziecko, które spęta naszą młodość. Po raz pierwszy odezwał się we mnie lęk natury materialnej: rodzi się nas wyrzekną.

Ponieważ kochałem już to dziecko, odrzucałem je przez miłość. Nie chciałem ponosić odpowiedzialności za jego tragiczne życie. Czułem, że sam byłbym do takiego życia niezdolny.

Instykt jest naszym przewodnikiem; przewodnikiem, który wiedzie nas ku zgubie. Wczoraj jeszcze Marta bała się, że jej ciąża oddali nas od siebie. Dzisiaj, ponieważ sama kochała mnie bardziej niż

kiedykolwiek, przekonana była, że i moja miłość wzrasta tak jak jej. Ja wczoraj odrzucałem to dziecko, lecz dziś zaczynałem je kochać, z krzywdą dla Marty, tak samo jak w początkach naszego związku moje serce ją obdarzało tym, czego ujmowało innym.

Całując teraz brzuch Marty, nie ją już całowałem, lecz moje dziecko. Niestety! Marta nie była już moją kochanką, była matką.

Nigdy już nie zachowywałem się teraz tak, jakbyśmy byli sami. Mieliśmy teraz stale przy sobie świadka naszych czynów. Trudno mi było pogodzić się z tą nagłą zmianą i całą odpowiedzialnością za nią obciążałem Martę, czułem jednak, że jeszcze trudniej byłoby mi jej wybaczyć, gdyby mnie okłamała. Chwilami miałem wrażenie, że Marta kłamie, by przedłużyć trwanie naszej miłości, lecz że jej syn nie jest moim.

Jak chory szukający ulgi, nie wiedziałem, na który bok się obrócić. Czułem, że Kocham już nie tę samą Martę i że mój syn tylko wtedy będzie szczęśliwy, jeżeli będzie myślał, że jest synem Jakuba. Takie wyjście wprawiało mnie w popłoch. Trzeba byłoby wyrzec się Marty. Z drugiej strony na próżno jednak brałem siebie za mężczyznę, fakt był zbyt wielkiej wagi, bym mógł udawać przed sobą chępliwie, iż wierzę w możliwość podobnie szalonej (ja myślałem: podobnie rozsądnej) egzystencji.

Ostatecznie Jakub kiedyś przecież wróci. Gdy minie ten niezwykle okres, zastanie — jak tylu innych żołnierzy zdradzanych z racji wyjątkowych okoliczności — żonę smutną, uległą i nic nie wyjawiającą jej winy. Lecz przyjdzie na świat dziecka tylko wtedy da się wytłumaczyć, jeżeli w czasie urlopu Marta pozwoli Jakubowi na zbliżenie. Moje tchórzostwo kazało mi błagać ją o to.

Ze wszystkich scen, jakie rozegrały się między nami, ta nie była ani najmniej dziwaczna, ani najprzyjemniejsza. Zdziwiłem się zresztą, że napotykałam tak mało oporu. Później dowiedziałem się, dlaczego. Marta nie śmiała wyznać mi zwycięstwa Jakuba w czasie ostatniego urlopu i udając, że przystaje na moje żądanie, liczyła, że w Granville będzie mogła przeciwstawić się temu pod pretekstem złego samopoczucia związanego z jej stanem. Cały plan komplikowały daty; ich niezgodność, z chwilą porodu, stanie się dla wszystkich oczywista. „Co tam — mówiłem sobie — mamy jeszcze czas. Rodzice Marty złączą się skandalu. Zabiorą Martę na wieś i podadzą późniejszą datę”.

Zbliżał się dzień odjazdu Marty. Dla mnie jej nieobecność mogła być jedynie zyskiem. Miała to być próba. Miałem nadzieję, że wyleczę się z Marty. Gdyby mi się to nie udało, gdyby moja miłość okazała się zbyt żywotna, by oderwać się od siebie samej, wiedziałem, że Marta wróci do mnie równie wierna, jak była.

Wyjechała dwunastego lipca o siódmej rano. Poprzedniego dnia zostałem w J. na noc. Idąc tam obiecywałem sobie, że tej nocy nie zmruję oka. Nagromadzę taki zapas pieśczoł, że nie będę już potrzebował Marty do końca moich dni.

Zasnąłem w piętnaście minut po położeniu się.

Bliskość Marty mąciła zazwyczaj mój sen. Po raz pierwszy spałem obok niej tak mocno, jakbym był sam.

Kiedy się obudziłem, była już na nogach. Nie odważyła się mnie obudzić. Do odjazdu pozostawało nie więcej niż pół godziny. Byłem wściekły, że zmarnowałem ostatnie chwile, jakie spędziliśmy razem. Marta także płakała, że wyjeżdża. A przecież pragnąłem spędzić te ostatnie minuty inaczej niż we łzach.

Marta zostawiła mi klucz prosząc, bym zachodził do jej mieszkania, myślał o niej, pisał do niej na jej stoliku.

Przyrzekłem sobie, że nie będę towarzyszył Marcie aż do Paryża. Za bardzo jednak pożądałem jej ust, a ponieważ tchórzliwie pragnąłem kochać ją coraz mniej, kładłem to pożądanie na karb jej odjazdu, na karb „ostatniego razu”, choć była to nieprawda, bo wiedziałem, że nie będzie „ostatniego razu”, chyba że ona tak zechce.

Na dworcach Montparnasse, gdzie miała się spotkać z rodzicami męża, całowałem ją bez opamiętania. Usprawiedliwiałem się przed sobą w ten sposób, że w każdej chwili mogła się zjawić rodzina i doszłoby do dramatu, który rozstrzygnąłby wszystko.

Po powrocie do F., gdzie dotąd żyłem jedynie oczekiwaniem na chwilę, kiedy pójdę do Marty, starałem się jakoś się rozerwać. Skopałem ogród, usiłowałem czytać, bawiłem się w chowanego z moimi siostrami, co przez ostatnich pięć lat nie zdarzyło mi się ani razu. Wieczorem, żeby nie budzić podejrzeń, wyszedłem na spacer. Zazwyczaj ledwo się obejrzałem, byłem już nad Marną. Tym razem wlokłem się, a przy każdym potknięciu serce biło mi szybciej. Położyłem się w łodzi i po raz pierwszy zapragnąłem umrzeć. Równie jednak niezdolny do śmierci, jak do życia, liczyłem na jakiegoś miłosiernego mordercę. Żałowałem, że nie można umrzeć z nudów ani ze smutku. Moja głowa opróżniła się powoli, jak wanna, z której wycieka woda bulgocząc.



Jeszcze jedno, najdłuższe mlaśnięcie i była pusta. Zasnąłem.

Obudził mnie ziąb lipcowego świtu. Wróciłem do domu przemarznięty do szpiku kości. Drzwi zastałem szeroko otwarte. W przedpokoju ojciec zrobił mi awanturę. Matka zaniemogła w nocy: isłużąca poszła mnie obudzić, żebym sprowadził doktora. Moja nieobecność wyszła na jaw.

Przyjąłem tę scenę spokojnie, pełen podziwu dla instynktownej delikatności dobrego sędziego, który spośród tysiąca uczynków występnych wybiera jeden jedyny nienaganny, by umożliwić przestępcy usprawiedliwienie się. Nie usprawiedliwiałem się zresztą, było to zbyt trudne. Pozostawiłem ojca w przeświadczeniu, że wracam z J., a kiedy po obiedzie zabronił mi wychodzić z domu, dziękowałem mu w duszy, że niechcący idzie mi na rękę uwalniająca od samotnej włóczędzy.

Czekałem na listonosza. Tym żyłem. Byłem niezdolny do najmniejszego wysiłku, by zapomnieć.

Marta dała mi nóż do papieru, z prośbą bym używał go tylko do rozcinania jej listów. Czy mogłem go używać? Za bardzo mi się spieszyło. Rozdzierałem koperty. Za każdym razem obiecywałem sobie ze wstydem, że otworzę list dopiero po piętnastu minutach. Miałem nadzieję, że ta metoda pozwoli mi odzyskać po jakimś czasie władzę nad

sobą i nosić nie rozcięte listy w kieszeni. Odkładałem to ćwiczenie z dnia na dzień.

Któregoś dnia, zniecierpliwiony własną słabością, w odruchu wściekłości podarłem list nie czytając. Ledwo strzępki papieru upadły na ścieżkę, rzuciłem się, by pozbierać je na czworakach. W liście była fotografia Marty. Ja, taki zabobonny i skłonny do tragicznego interpretowania najdrobniejszych faktów, podarłem jej podobiznę. Dopatrzyłem się w tym ostrzeżenia. Uspokoilem się dopiero, gdy po czterech godzinach udało mi się skleić list i zdjęcie. Nigdy jeszcze nie zdobyłem się na podobny wysiłek. Obawa, że Marcie może przytrafić się jakieś nieszczęście, kazała mi wytrwać w tej absurdalnej pracy, nieznośnej dla oczu i nerwów.

Lekarz specjalista zalecił Marcie kąpiele morskie. Wyrzucając sobie własną niegodziwość zabroniłem jej jednak kąpać się, gdyż nie chciałem, by ktokolwiek inny prócz mnie oglądał jej ciało.

Poza tym, ponieważ tak czy tak Marta miała spędzić miesiąc w Granville, rad byłem, że Jakub jest tam także. Przypomniałem sobie jego fotografię, którą Marta pokazywała mi w dniu, kiedy kupowaliśmy meble. Niczego nie obawiałem się bardziej niż młodych ludzi na plaży. Z góry zakładałem, że są ładniejsi, silniejsi, bardziej eleganccy ode mnie.

Mąż ustrzeże ją przed nimi.

Zdarzały mi się chwile roztkliwienia, kiedy — jak pijak, który całuje się ze wszystkimi — chciałem napisać do Jakuba, wyznać mu, że jestem kochankiem Marty, i powołując się na prawo, jakie mi to daje, polecić ją jego opiece. Czasem zazdrościłem Marcie, uwielbianej przez Jakuba i przeze mnie. Czy nie powinniśmy razem starać się zapewnić jej szczęścia? W takich chwilach czułem się kochankiem przymykającym oczy. Pragnąłem poznać Jakuba, wytłumaczyć mu wszystko i wyjaśnić, dlaczego nie powinniśmy być zazdrośni o siebie nawzajem. Później nienawiść przemieniała nagle to łagodnie zбочe w urwisko.

W każdym liście Marta prosiła mnie, żebym chodził do niej. Te nalegania przypominały mi jedną z moich ciotek, bardzo pobożną, która wyrzucała mi, że nigdy nie chodzę na grób babki. Brak mi instynktu pielgrzyma.

Uciążliwy obowiązek składania odwiedzin lokalizuje śmierć, miłość.

Czy o zmarłym lub o nieobecnej kochance można myśleć tylko na cmentarzu albo w sypialni? Nie starałem się wytłumaczyć tego Marcie i pisałem jej, że bywam w jej mieszkaniu; tak samo ciotce opowiadałem, że chodzę na cmentarz. Tymczasem miałem rzeczywiście pójść do Marty; stało się to jednak w szczególnych okolicznościach.

Któregoś dnia spotkałem w pociągu młodą Szwedkę, której znajomi zabraniali utrzymywania stosunków z Martą. Całkowicie pozbawiony towarzystwa, zainteresowałem się tą dziecinną osobką. Zaproponowałem jej, żeby przyjechała nazajutrz po kryjomu do J. na podwieczorek. Nie powiedziałem jej o wyjeździe Marty, żeby jej nie spłoszyć, dodałem nawet, że Marta będzie niezmiernie rada z odwiedzin. Przyznaję, że nie bardzo wiedziałem, co

zamierzam zrobić. Zachowywałem się jak dziecko, które po to bawi się z drugim dzieckiem, by je czymś zadziwić. Nie potrafiłem oprzeć się chęci ujrzenia gniewu czy też zdumienia na anielskiej buzi Svei, kiedy będę jej musiał powiedzieć, że Marty nie ma.

Tak, z pewnością w grę wchodziła właśnie dziecinna przyjemność zadziwiania, nie znajdowałem bowiem nic szczególnego do powiedzenia, kiedy tymczasem Svea, na mocy swego rodzaju egzotyki, zaskakiwała mnie każdym zdaniem. Nic przyjemniejszego niż nagle zbliżenie dwóch osób, które się nie rozumieją. Miała na szyi złoty krzyżyk emaliowany niebiesko, który opadał na suknię dosyć brzydką; przerabiałem ją w myśli według mego gustu. Prawdziwa żywa lalka. Czulem, że mam coraz większą ochotę powtórzyć to sam na sam, ale już nie w wagonie.

Można by ją wziąć za panienkę wychowaną u zakonnic, gdyby nie jej sposób bycia uczennicy ze szkoły Pigiera, gdzie zresztą bez większego pożytku uczyła się przez godzinę dziennie francuskiego i pisała na maszynie. Pokazała mi swoje ćwiczenia. Co litera to błąd i poprawki nauczyciela na marginesie. Z obrzydliwej torebki — najwidoczniej własnej roboty — wyciągnęła papierośnicę z hrabiowską koroną. Poczęstowała mnie papierosem. Sama nie paliła, ale miała zawsze przy sobie papierośnicę, bo jej koleżanki paliły. Opowiadała mi o szwedzkich

obyyczajach, a ja udawałem, że je znam: o nocy świętojańskiej, o konfiturach z czarnych jagód. Potem wyjęła z torebki fotografię swojej siostry bliźniaczki, którą otrzymała poprzedniego dnia ze Szwecji: na koniu, zupełnie naga, w cylindrze dziadka na głowie. Zrobiłem się purpurowy. Siostra była do niej tak podobna, iż pomyślałem, że kpi ze mnie i pokazuje mi własną podobiznę. Zagryzłem wargi, by poskromić chęć wycalowania tej naiwnej szelmy. W wyrazie mojej twarzy musiało być coś bardzo zwierzęcego, bo zobaczyłem, że się złękła i wzrokiem szukała hamulca.

Następnego dnia zjawiała się u Marty o czwartej. Powiedziałem jej, że Marta jest w Paryżu, ale wróci niedługo. „Przykazała mi, żebym nie wypuszczał pani przed jej powrotem” — dorzuciłem. Zamierzałem wyznać jej mój podstęp, gdy już będzie za późno.

Na szczęście była łakoma. Moje własne łakomstwo przybrało niespodziewaną postać. Nie miałem ochoty na tort ani na lody malinowe, lecz pragnąłem być tortem i lodami, do których zbliżała usta. Mimo woli naśladowałem ruchy jej warg.

Pożądałem Svei nie przez zepsucie, lecz z łakomstwa. Jej policzki byłyby mi wystarczyły, gdybym nie mógł mieć jej ust.

Wymawiałem wyraźnie każdą sylabę, żeby mnie dobrze zrozumiała. Podniecony tym obiadkiem dla lalek, denerwowałem się, ja, zawsze taki milczący, że nie mogę mówić prędko. Czułem potrzebę paplaniny, dziecinnych zwierzeń. Przesuwałem ucho do jej ust. Łykałem jej słowa.

Zmusiłem ją, żeby wypila kieliszek likieru. Potem zrobiło mi się jej żal, jak ptaszka, którego chce spoić.

Liczyłem, że jej oszołomienie alkoholem posłuży moim planom, gdyż obojętne mi było, czy da mi usta z własnej czy nie z własnej woli. Pomyślałem o niestosowności takiej sceny w mieszkaniu Marty, powtarzałem sobie jednak, że ostatecznie nie ujmuje niczego naszej miłości. Pożądałem Svei jak owocu, a o to żadna kochanka nie może być zazdrosna.

Trzymałem jej dłoń w moich dłoniach, które wydały mi się niezręczne. Miałem ochotę rozebrać ją, ukołysać. Położyła się na kanapie. Wstałem i pochyliłem się nad nią tam, gdzie włosy tworzą jeszcze puszek. Jej milczenie nie pozwalało mi wnioskować, że moje pocałunki sprawiają jej przyjemność; nie wiedziała, jak dać mi grzecznie odprawę po francusku. Gryzłem ją leciutko w policzki

czekając, aż wytryśnie z nich słodki sok, jak z brzoskwini.

Wreszcie pocałowałem ją w usta. Znosiła moje pieszczoty z cierpliwą uległością, zamykała usta i oczy. Cała jej odmowa polegała na tym, że poruszała nieznacznie głową od prawej do lewej i od lewej do prawej. Nie łudziłem się, lecz moje usta szukały cienia odpowiedzi. Zdobywałem Sveę tak, jak nigdy nie zdobywałem Marty. Ten opór, który nie był oporem, podniecał mnie moją zuchwałość i moje lenistwo. Byłem na tyle naiwny, iż wierzyłem, że dalej pójdzie mi równie łatwo.

Nigdy dotąd nie rozbierałem żadnej kobiety; to raczej one mnie rozbierały. Toteż zabrałem się do tego niezgrabnie, najpierw zdjąłem jej buciki i pończochy. Całowałem jej stopy i nogi. Kiedy jednak chciałem rozpiąć jej bluzkę, zaczęła się wyrywać jak diabeł, które nie chce iść spać i które rozbierają siłą. Kopała mnie. Chwytałem jej stopy, zatrzymywałem w dłoniach, całowałem. Wreszcie przyszło zasywienie, jak po nadmiarze łakoci, które odbierają apetyt. Powiedziałem jej o moim podstępie i o tym, że Marta wyjechała. Musiała mi przyrzec, że jeżeli zobaczy się kiedyś z Martą, nie powie jej o naszym spotkaniu. Nie przyznałem się, że jestem kochankiem Marty, dałem jej to jednak do zrozumienia. Urok, jaki wywiera tajemnica, kazał jej odpowiedzieć: „Do jutra”, gdy przesycony, zapytałem przez grzeczność, czy zobaczymy się jeszcze.



Nie poszedłem więcej do Marty. Może i Svea także nie dzwoniła więcej do zamkniętych drzwi. Zdawałem sobie sprawę, jak dalece naganne w oczach przeciętnej moralności było moje postępowanie. Gdyż niewątpliwie właśnie okoliczności zewnętrzne sprawiły, że Svea wydała mi się zdobyczą tak cenną. Czy gdziekolwiek indziej, nie w sypialni Marty, byłbym jej pożądał?

Nie czułem jednak wyrzutów sumienia. Zostawiłem tę małą Szwedkę nie na myśl o Marcie, lecz dlatego, że wyszałem z niej już wszystko cukier.

W parę dni później dostałem list od Marty. Zawierał list od gospodarzy, w którym ci pisali, że ich dom nie jest domem schadzek, a ja w ten sposób korzystam z zostawionego mi klucza, iż przyprowadziłem jakąś kobietę. Mam dowód zdrady, dodawała Marta. Nie zobaczy mnie więcej. Będzie cierpieć, ale woli cierpieć niż być oszukiwana.

Wiedziałem, że są to pogróżki niewinne i że wystarczy jedno kłamstwo, a w razie potrzeby nawet prawda, by je rozbroić. Czułem się jednak urażony, że w liście zapowiadającym zerwanie Marta nie

wspomniała o samobójstwie! Wydawało mi się to dowodem oziębłości. Uznałem, że jej list niewart jest wyjaśnień. Ja w podobnej sytuacji, nie myśląc o samobójstwie, uważałbym jednak za stosowne zagrozić nim Marcie. Niezatarty ślad wieku i szkoły: sądziłem, że kodeks miłosny narzuca pewne kłamstwa.

W moim terminowaniu miłosnym napotkałem więc teraz nowe zadanie: uniewinnić się wobec Marty i zarzucić jej samej, że więcej ma zaufania do gospodarzy niż do mnie. Wyjaśniłem jej, jak zrzeczne było to posunięcie ze strony Marinów i ich koterii. Rzeczywiście Svea przyszła któregoś dnia, kiedy byłem w mieszkaniu Marty i pisałem do niej; otworzyłem dlatego, że dostrzegłem Sveę przez okno, wiedziałem zaś, że ludzie odsuwają się od Marty i nie chciałem, by pomyślała, że Marta ma do niej żal. Na pewno przyszła po kryjomu i za cenę niezliczonych trudności.

Mogłem więc donieść Marcie, że przyjaźń Svei dla niej w niczym nie ucierpiała. W zakończeniu napisałem, jak mi dodało sił, że mogłem porozmawiać o Marcie, u niej, i to z osobą tak jej bliską.

Ten alarm skłaniał mnie do złożyczenia miłości, która każe nam zdawać sprawę z naszych postępów, kiedy tymczasem ja tak bardzo pragnąłem

nigdy nie zdawać z nich sprawy ani przed sobą, ani przed innymi.

Widać jednak, mówiłem sobie, miłość musi mieć wiele dobrych stron, skoro wszyscy składają swą wolność w jej ręce. Chciałem być jak najprędzej dość silny, by obejść się bez miłości i nie musieć dzięki temu wyrzekać się żadnych zachcianek. Nie wiedziałem, że — ponieważ tak czy tak niewoli uniknąć się nie da — lepiej być niewolnikiem swego serca niż swoich zmysłów.

Tak jak pszczoła, która wszelką nazbieraną słodyczą wzbogaca ul, tak samo i kochanek każdym przelotnym pożądaniem wzbogaca swoją miłość. Korzyść z niego przypada kochance. Nie odkryłem jeszcze wówczas tej dyscypliny, która stanowi o wierności natur niewiernych. Kiedy mężczyzna, pożądając dziwki, przenosi swe pożądanie — bardziej palące, gdyż niezaspokojone — na kobietę, którą kocha, ta przekonana jest, że nigdy nie pragnął jej równie mocno. To oszustwo, lecz moralność, według ludzi, nie ponosi tu uszczerbku. Takie rachuby to początek rozpusty. Nie potępiajmy więc zbyt pochopnie mężczyzn, którzy potrafią zdradzić kochankę nawet wtedy, gdy kochają ją najbardziej, nie zarzucajmy im płochości. Oszustwo jest im

wstrętne i nie myślą nawet mieszać ze sobą szczęścia i uciechy zmysłów.

Marta oczekiwała, że będę się usprawiedliwił. Błagała mnie, bym wybaczył jej wyrzuty, jakie mi robiła. Wybaczyłem, ale nie od razu. Napisała do gospodarzy prosząc ironicznie, by pozwolili, że pod jej nieobecność będę otwierał jednej z jej przyjaciółek.

Wróciwszy z końcem sierpnia, Marta zatrzymała się nie w J., lecz w domu rodziców, którzy byli jeszcze na wakacjach. To nowe otoczenie, w którym Marta wyrosła, podziało na nią jak środek pobudzający. Znikło znużenie zmysłów, tajone pragnienie samotnego snu. Ani jednej nocy nie spędzałem teraz w domu. Płonałem, śpieszyłem się, jak ludzie, którzy mają umrzeć młodo i żyją w dwójnasób. Chciałem nasycić się Martą, zanim zeszepeci ją macierzyństwo.

Panieński pokoik, w którym nie chciała sypiać z Jakubem, służył nam na sypialnię. Leżąc w jej wąskim łóżku lubiłem napotykać wzrokiem zdjęcie Marty z pierwszej komunii, które wisiało nad nim. Kazałem jej wpatrywać się w inne swoje zdjęcia, z niemowlęctwa, aby nasze dziecko było do niej podobne. Krążyłem zachwycony po tym domu, gdzie się urodziła i rozkwitła. W schowku na rupiecie dotykałem jej kołyski (chciałem, żeby służyła nam jeszcze) i prosiłem Martę, by pokazała mi swoje kaftaniki i majteczki, relikwie Grangierów.

Nie żałowałem mieszkania w J., gdzie meble nie miały uroku brzydoty rodzinnych wnętrz.

Niczego nie mogłem się od nich dowiedzieć. Tymczasem tutaj każdy sprzęt, o który w dzieciństwie nabijała sobie guzy, mówił o Marcie. A poza tym tu byliśmy sami, bez radnego miejskiego, bez gospodarzy. Nie krępowaliśmy się bardziej niż dżicy, chodziliśmy po ogrodzie prawie nago, jak na prawdziwej bezludnej wyspie. Leżeliśmy na trawie, jedliśmy podwieczorek w altanie obrosłej kokornakiem, wiciokrzewem i dzikim winem. Z ust do ust podawaliśmy sobie śliwki, które zbierałem popekane, nagrzane od słońca. Ojcu nigdy nie udało się nakłonić mnie, bym zajmował się ogrodem tak jak moi bracia, teraz jednak zajmowałem się ogrodem Marty. Gracowałem, wrywałem chwasty. A kiedy wieczorem po upalnym dniu zaspokajałem pragnienie ziemi i złaknienie kwiatów, odczuwałem tę samą męską dumę, tak upajającą, jaką odczuwamy zaspokajając pożądanie kobiety. Zawsze dotąd dobroć wydawała mi się czymś nijakim: teraz pojmowałem całą jej siłę. Kwiaty kwitły bujnie dzięki mojej o nie troskliwości, kury, nakarmione przeze mnie, zasypiały w cieniu: jakaż dobroć! Jaki egoizm! Zwiędłe kwiaty, wychudłe kury wniosłyby smutek na naszą wyspę miłości. Woda i ziarno, które rozdawałem, przeznaczone były bardziej dla mnie niż dla kwiatów i kur.

Nawrót uczucia kazał mi zapomnieć lub też lekceważyć niedawne doświadczenia. Rozpustę, do

jakiej skłaniała mnie rodzinna aura tego domu, brałem za koniec rozpusty. Toteż ten ostatni tydzień sierpnia i wrzesień był to dla mnie jedyny okres prawdziwego szczęścia. Nie oszukiwałem, nie zadawałem bólu ani sobie, ani Marcie. Nie widziałem przed nami żadnych przeszkód. Mając lat szesnaście myślałem o życiu, do jakiego wzdychamy w wieku dojrzałym. Zamieszkamy na wsi; będziemy tam wiecznie młodzi.

Leżąc na gazonie obok Marty, i łaskocząc jej twarz źdźbłem trawy, wyjaśniałem powoli, statecznie, jakie będzie nasze życie. Od powrotu Marta szukała dla nas mieszkania w Paryżu. Kiedy usłyszała, że pragnę mieszkać na wsi, oczy zaszyły jej łzami:

— Nigdy nie byłabym śmiała ci tego zaproponować powiedziała. — Byłam pewna, że nudziłbyś się sam ze mną i że potrzeba ci miasta.

— Jak ty mnie nie znasz — odparłem.

Chciałem zamieszkać niedaleko Mandres, dokąd wybraliśmy się kiedyś; hodują tam róże. Wracając któregoś dnia z Martą z Paryża ostatnim pociągiem znów poczułem ich zapach. Na peronie robotnicy wyładowywali olbrzymie woniejące skrzynie. Pamiętam, że w dzieciństwie nieraz słyszałem o tajemniczym pociągu z różami, który przejeżdża wtedy, gdy dzieci już śpią.

— Róże kwitną krótko — powiedziała Marta. — Czy nie boisz się, że potem Mandres wyda ci się brzydkie? Nie rozsądniej byłoby wybrać miejsce nie tak piękne, lecz o uroku bardziej trwałym?

Tak, to było do mnie podobne. Chęć, by przez dwa miesiące cieszyć się różami, przesłaniała mi dziesięć pozostałych miesięcy; fakt, że wybrałem właśnie Mandres, stał się dla mnie jeszcze jednym dowodem przemijającej natury naszej miłości.

Często pod pretekstem wycieczki czy zaproszenia nie jadłem obiadu w F. i zostawałem z Martą.

Któregoś popołudnia zastałem u niej młodego człowieka w mundurze lotnika. Był to jej kuzyn. Marta, do której nie zwróciłem się po imieniu, podniosła się i pocałowała mnie w szyję. Kuzyn uśmiechnął się widząc moje zmieszanie.

— Przed Pawłem nie musimy niczego ukrywać, kochanie — odezwała się. — Opowiedziałam mu wszystko.

Byłem zmieszany, lecz i uradowany, że Marta przyznała się kuzynowi, iż mnie kocha. Ten uroczy i powierzchowny chłopiec, zaprzątnięty jedynie myślą o swoim mundurze i o tym, by nie był on w zgodzie z regulaminem, wydawał się zachwycony naszą miłością. Widział w niej dobry figiel spleatany Jakubowi, którym pogardzał, gdyż nie był lotnikiem ani bywalcem barów.



Paweł opowiadał o dziecinnych zabawach, których ten ogród był teatrem. Wypytywałem go zachłannie, rad oglądać Martę w nieoczekiwanym dla mnie świetle. Jednocześnie zaś czułem smutek. Zbyt blisko byłem jeszcze dzieciństwa i zbyt dobrze pamiętałem zabawy nieznanne rodzicom, bądź dlatego, że jako dorośli już o nich zapomnieli, bądź też dlatego, że uznają je za zło konieczne. Byłem zazdrosny o przeszłość Marty.

Kiedy śmiejąc się opowiadaliśmy Pawłowi o nienawiści gospodarzy i o raucie u Marinów, rozochocony zaproponował nam swoją garsonierę w Paryżu.

Zauważyłem, że Marta nie miała odwagi powiedzieć mu, że mamy zamiar zamieszkać razem. Można było wyczuć, że dla zabawy sprzyja naszej miłości, lecz w razie skandalu krakałby jak i inne wrony.

Marta wstawiała i podawała do stołu. Służba wyjechała na wieś razem z państwem Grangier, gdyż Marta przez ostrożność twierdziła, że chce żyć jak Robinson. Rodzice uważali ją za romantyczkę, a że romantycy przypominają szaleńców, którym nie należy się sprzeciwiać, zostawili więc ją samą.

Zasiedzieliśmy się przy stole. Paweł przynosił co najlepsze wina. Byliśmy weseli wesołością, której mieliśmy na pewno żałować, gdyż Paweł zachowywał się jak powiernik pierwszej lepszej zdrady

mażeńskiej. Wyśmiewał się z Jakuba. Gdybym milczał, mogłem mu dać odczuć, że zachowuje się nietaktownie; wołałem więc raczej zachować ten sam ton, żeby nie upokarzać tego wygodnego kuzynka.

Kiedy spojrzeliśmy na zegar, ostatni pociąg do Paryża już odszedł. Marta zaproponowała Pawłowi, żeby przenocował. Przyjął zaproszenie. Spojrzałem na Martę tak wymownie, iż dorzuciła:

— Oczywiście, kochanie, zostajesz.

Kiedy w drzwiach naszej sypialni Paweł powiedział nam dobranoc i ucałował kuzynkę w oba policzki najnaturalniej w świecie, miałem złudzenie, że jestem panem domu i przyjmuję u siebie kuzyna żony.

Kiedy nadszedł koniec września, poczułem, że opuścić ten dom to znaczy opuścić szczęście. Jeszcze parę miesięcy miłosiernej zwłoki i będziemy musieli wybierać, czy chcemy żyć w kłamstwie, czy w prawdzie, a jedno było równie uciążliwe jak drugie. Ponieważ chodziło o to, by Marta nie została sama, opuszczona przez rodziców, przed urodzeniem dziecka, odważyłem się wreszcie zapytać, czy uprzedziła panią Grangier, że jest w ciąży. Odpowiedziała, że tak i że uprzedziła też Jakuba. Miałem więc okazję przekonać się, że kłamała mi czasem, gdyż w maju po pobycie Jakuba przysięgała, że nie zbliżał się do niej.

Coraz wcześniej zapadał zmrok; wieczorny chłód uniemożliwiał spacer. Spotykać się w J. było nam trudno. Żeby nie wywołać skandalu, musieliśmy kryć się jak złodzieje, czatować na chwilę, kiedy ani Marinów, ani gospodarzy nie było w domu.

Smutek października i jego wieczorów chłodnych, ale nie na tyle zimnych, by palić w kominku, doradzał jedno — kłaść się już o piątej. U moich rodziców kłaść się za dnia znaczyło być chorym i ta piąta, w łóżku, miała dla mnie urok. Nie wyobrażałem sobie, by ktoś jeszcze mógł o tej porze leżeć. Byłem sam z Martą, wyłączony, bezczynny pośród ogólnego trudu. Nie śmiałem prawie spojrzeć na Martę, kiedy była naga. Czy jestem potworem? Najpodniosłej szy akt, jakiego dopełnia człowiek, był dla mnie źródłem wyrzutów sumienia. Ponieważ Marta zbrzydła, brzuch jej sterczał, uważałem się za wandalę. W początkach naszej miłości, kiedy ją gryzłem, mówiła: „Naznacz mnie”. Czy nie naznaczyłem jej w najgorszy sposób?

Nie tylko że kochałem ją teraz najbardziej, co nie znaczy najlepiej, jak można kochać, lecz

przesłoniła mi wszystko. Nie myślałem nawet o moich przyjaciółach; przeciwnie, bałem się ich, gdyż wiedziałem, iż sądzą, że oddają nam przysługę sprowadzając nas z obranej drogi. Na szczęście uważają nasze kochanki za niezdolne i niegodne nas. To nasz jedyny ratunek. W przeciwnym wypadku może się zdarzyć, że zostaną ich kochankami.

Ojciec zaczynał wpadać w popłoch. Ponieważ jednak zawsze brał mnie w obronę wobec swojej siostry i mojej matki, nie chciał, by wyglądało, że zmienił zdanie i przeszedł na ich stronę, nic im o tym nie mówiąc. Mnie powiedział, że gotów jest na wszystko, by rozłączyć mnie z Martą. Powiadomi jej rodziców, męża... Nazajutrz zostawiał mi swobodę.

Domyślałem się jego słabości. Wykorzystywałem ją. Pozwalałem sobie na odpowiedzi. Wytykałem mu to samo, co matka i ciotka, że za późno ucieka się do swego autorytetu. Sam zresztą chciał, żebym poznał Martę. On też robił sobie wyrzuty. W domu panowała atmosfera dramatyczna. Co za przykład dla moich dwóch braci! Ojciec przewidywał już, że nie będzie mógł mi nic powiedzieć w dniu, kiedy moim nieposłuszeństwem zechcą usprawiedliwić swoje własne.

Aż dotąd sądził, że to przelotna miłostka, lecz matka przechwyciła znów jakiś list. Triumfalnie zniosła ojcu ten dowód rzeczowy. Marta pisała o naszej przyszłości, o dziecku!

W oczach matki ja sam byłem jeszcze małym dzieckiem, nie wyobrażała więc sobie, bym mógł

dać jej wnuka czy wnuczkę. Uważała, że to niemożliwe, by została babką w jej wieku. W gruncie rzeczy był to dla niej najlepszy dowód, że dziecko nie jest moje.

Uczciwość może iść w parze z uczuciami bardzo gwałtownymi. Moja matka w swej głębokiej uczciwości nie mogła pojąć, iż można zdradzać męża. Według niej dowodziło to wyuzdania, które wykluczało miłość. Fakt, że byłem kochankiem Marty, oznaczał dla matki, iż Marta miała jeszcze innych kochanków. Ojciec wiedział, jak dalece fałszywe może być takie rozumowanie, lecz korzystał z niego, by posiać we mnie niepokój i pomniejszyć Martę. Dawał mi do zrozumienia, że ja jeden „nie wiem”. Odpowiadałem, że ludzie szkalują ją właśnie dlatego, że mnie kocha. Nie chcąc, bym obracał te pogłoski na swoją korzyść, ojciec zaręczał, że krążyły jeszcze przed naszym związkiem, a nawet przed ślubem Marty.

Za fasadą godności, którą nasz dom dotąd zachował, ojciec stracił teraz wszelkie panowanie nad sobą i gdy parę dni nie było mnie w domu, wysyłał do Marty pokojówkę z listem do mnie; nakazywał, bym natychmiast wracał, gdyż w przeciwnym razie da znać o mojej ucieczce do prefektury i wystąpi przeciwko pani L. ze skargą o uwiedzenie nieletniego.

Marta ratowała pozory, robiła zdziwioną minę i mówiła pokojówce, że odda mi list przy pierwszej mojej bytności. Wracalem do domu troche później, przeklinając swoje lata. Przez to, że byłem taki młody, nie należałem do siebie. Na mój widok rodzice nie odzywali się ani słowem. Szperałem w kodeksie, ale nie znajdowałem żadnego paragrafu dotyczącego się nieletnich. W mojej nieświadomości nie wyobrażałem sobie, by moje postępowanie mogło zaprowadzić mnie do domu poprawczego. Po bezskutecznych poszukiwaniach w kodeksie zwróciłem się do dużego Larousse'a i wielokrotnie odczytywałem hasło „nieletni”, nie znalazłem jednak nic, co by nas dotyczyło.

Następnego dnia ojciec znów zostawił mi swobodę.

Jeżeli kogoś zastanawia jego dziwne postępowanie, streszczę je w paru słowach: dawał mi wolną rękę. Potem wstydział się tego. Groził, bardziej rozjątrzony na siebie niż na mnie. Jeszcze później wstyd, że się uniósł, kazał mu znów popuszczać cugli.

Podejrzenia pani Grangier zrodziły się po powrocie z wakacji na skutek podstępnych pytań sąsiadów. Udając, że biorą mnie za brata Jakuba, opowiadali jej o naszym wspólnym pobycie. Że zaś Marta nie potrafiła się powstrzymać i co chwila wymawiała moje imię, przy lada okazji wspominała,



co zrobiłem czy powiedziałem, jej matka szybko zorientowała się, kto był tym bratem Jakuba. Wybaczyła to jednak, przekonana, że dziecko — a była przekonana, że jest to dziecko Jakuba — położy kres całej tej historii. Z obawy przed wybuchem nie mówiła nic panu Grangierowi. Dyskrecję tę przypisywała jednak swej wielkoduszności i zależało jej, by Marta była jej za nią wdzięczna. By udowodnić córce, że wie o wszystkim, dokuczała jej bez ustanku, robiła aluzje, i to tak niezręcznie, iż pan Grangier, gdy był sam z żoną, prosił, żeby dała spokój biedaczce, gdyż te ciągłe posądenia mogą jej w końcu podsunąć niedobre myśli. Na co pani Grangier odpowiadała niekiedy westchnieniem, które miało dać mu do zrozumienia, że córka wyznała jej swą winę.

Takie zachowanie, podobnie jak jej zachowanie w czasie pierwszego pobytu Jakuba, każe mi przypuszczać, że nawet gdy całkowicie potępiała córkę, to jednak dla samej satysfakcji przeciwstawienia się mężowi i zięciowi pani Grangier stanęłaby po jej stronie. W gruncie rzeczy podziwiała Martę, że zdradza męża, na co ona sama nigdy nie potrafiła się zdobyć, czy to przez skrupuły, czy też z braku okazji. Uważała, iż mąż nigdy jej nie rozumiał, i teraz czuła się pomszczona przez córkę. W swym niemądrym idealizmie miała do niej żal jedynie o

to, że pokochała chłopca tak młodego i bardziej niż ktokolwiek niezdolnego pojąć „delikatności duszy kobiecej”.

Państwo Lacombe, których Marta odwiedzała coraz rzadziej, nie mogli, mieszkając w Paryżu, niczego podejrzewać. Tyle że Marta wydawała im się coraz bardziej dziwna i coraz mniej ją lubili. Niepokoili ich przyszłość. Zadawali sobie pytanie, jakie będzie to małżeństwo za parę lat? Wszystkie matki niczego, w zasadzie, nie pragną dla swych synów bardziej niż ożenku, lecz nie pochwalają żon, jakie ci sobie wybrali. Matka Jakuba współczuła mu więc, że ma taką żonę. Co do panny Lacombe, to główną przyczyną, dla której obmawiała bratową, był fakt, iż jedna Marta wiedziała o pewnej dość daleko posuniętej idylli, jakiej była świadkiem tego lata, kiedy poznała Jakuba nad morzem. Panna Lacombe przepowiadała temu małżeństwu jak najciemniejszą przyszłość i twierdziła, że Marta będzie zdradzać Jakuba, jeżeli przypadkiem nie zrobiła już tego do tej pory.

Zajadłość żony i córki sprawiała nieraz, że pan Lacombe, człowiek zacny, który lubił Martę, wstawał od stołu. Wówczas matka i córka zamieniały porozumiewawcze spojrzenia. Spojrzenie pani Lacombe mówiło: „Widzisz, moje dziecko, jak tego rodzaju kobiety potrafią usidlić mężczyzn!” A spojrzenie panny Lacombe oznaczało: „Dlatego właśnie,

że nie zaliczam się do takich jak Marta, nie znajduję męża”. W rzeczywistości nieboraczka odstraszała kandydatów tym, iż pod pretekstem, że „czasy się zmieniły” i do małżeństwa dochodzi się teraz inaczej niż dawniej, nie stawiała dostatecznego oporu. Jej nadzieje na zamążpójście kończyły się wraz z końcem pobytu nad morzem. Młodzi ludzie obiecywali, że zaraz po powrocie do Paryża oświadczą się o jej rękę. Nie pokazywali się jednak. Główną pretensją panny Lacombe, której groziło staropanieństwo, było chyba to, iż Marta tak łatwo znalazła męża. Pocieszała się mówiąc sobie, że tylko taki głupiec jak jej brat mógł dać się złapać.

Jednak niezależnie od podejrzeń obu rodzin nikt nie myślał, by dziecko Marty mogło mieć innego ojca niż Jakub. Czulem się tym dość dotknięty. Bywały nawet takie dni, gdy zarzucałem Marcie tchórzostwo, dlatego że nie wyznała jeszcze prawdy. Ponieważ sam byłem słaby, wszystkim przypisywałem słabość i sądziłem, że skoro pani Grangier przymknęła oczy na początek dramatu, będzie je przymykać do końca.

Burza nadchodziła. Ojciec groził, że prześle niektóre listy pani Grangier. Pragnąłem, by wykonał groźbę. Później przychodziło zastanowienie. Pani Grangier nie pokazałaby tych listów mężowi. Zresztą

w interesie obojga leżało, aby uniknąć burzy. A ja się dusiłem. Przyzywałem tej burzy. Ojciec powinien był przesłać te listy wprost do Jakuba.

Gdy któregoś dnia powiedział mi w gniewie, że to zrobił, o mało nie rzuciłem mu się na szyję. Nareszcie! Nareszcie oddał mi przysługę i powiadomił Jakuba o tym, o czym powinien był wiedzieć. Było mi żal ojca, iż uważa moją miłość za tak słabą. A poza tym położy to wreszcie kres listom, w których Jakub rozczulał się nad naszym dzieckiem. W moim rozgorączkowaniu nie zdawałem sobie sprawy, jak dalece takie posunięcie było szalone, niemożliwe. Zaczynałem to sobie uświadamiać, gdy nazajutrz ojciec, spokojniejszy już, powiedział mi — jak sądził, na pocieszenie — że skłamał. Uznał, że byłoby to nieludzkie. Zapewne. Co jest ludzkie, a co nieludzkie?

Trwoniłem siły to na tchórzostwo, to na zuchwałość, i zmagania mojej młodości z przeżyciami dorosłego mężczyzny wyczerpywały mnie.

Miłość znieczulała mnie na wszystko, co nie było Martą. Nie pomyślałem, że ojciec może cierpieć. Moje sądy były teraz tak fałszywe i tak małoduszne, iż doszedłem w końcu do przekonania, że wypowiedzieliśmy sobie wojnę. Toteż jeżeli deptałem obowiązki synowskie, czyniłem tak nie tylko przez miłość do Marty, lecz również — czy mam się

przyznać? — przez ducha odwetu!

Przestałem już zwracać uwagę na listy, jakie ojciec posyłał do Marty. To ona sama błagała mnie, bym częściej pokazywał się w domu, zachowywał się rozsądniej. Wówczas wybuchałem: „Ach, więc ty też przeciwko mnie?” Zaciskałem zęby, tupałem nogami. Ponieważ myśl, że mam rozstać się z nią na parę godzin, doprowadzała mnie do takiego stanu, Marta przekonana była, że ją namiętnie kocham. Pewność, że jest kochana, pozwalała jej na stanowczość, jakiej nigdy dotąd nie wykazywała. Spokojna, że i tak będę o niej myślał, nalegała, bym wrócił do domu.

Prędko zorientowałem się, skąd płynie jej odwaga. Zmieniłem taktykę. Udawałem, że wysuwane przez nią racje trafiają mi do przekonania. Wówczas nagle zmieniała front. Mój rozsądek (a może niestałość?) budziły w niej lęk, że nie kocham jej tak jak dawniej. Teraz ona błagała, bym został, tak bardzo potrzebowała podniesienia na duchu.

Któregoś dnia jednak wszystko zawiodło. Już od trzech dni nie pokazywałem się w domu i oświadczyłem Marcie, że zamierzam jeszcze jedną noc spędzić u niej. Wszystkiego próbowała, by odwieść mnie od tego postanowienia: gróźb, pieszczot. Wreszcie i ona zdobyła się na podstęp. Oznajmiła, że jeżeli nie wrócę do rodziców, to ona tę noc spędzi u swoich.

Odparłem, że mój ojciec wcale nie doceni tego gestu. — A więc dobrze! nie pójdzie do matki. Pójdzie nad Marnę. Zaziębi się, umrze; wreszcie wyzwoli się ode mnie. „Miej chociaż litość nad naszym dzieckiem — mówiła. — Nie narażaj jego życia”. Oskarżała mnie, że igram z jej miłością, że chcę poznać jej granice. Wobec takiej nieustępliwości powtórzyłem jej słowa ojca: zdradzała mnie z byle kim; nie dam się oszukać. „Tylko dlatego tak się upierasz — powiedziałem — że oczekujesz dziś wieczór jednego z kochanków”. Cóż odpowiedzieć na tak szaloną niesprawiedliwość? Odwróciła się. Wyrzucałem jej, iż tak spokojnie przyjmuje obelgę. Manewrowałem tak zręcznie, że w końcu zgodziła się spędzić tę noc ze mną. Pod warunkiem, że nie u niej w domu. Za nic na świecie nie chciała, by gospodarze mogli nazajutrz powiedzieć wysłannikowi mego ojca, że była u siebie.

## Gdzie spędzić noc?

Byliśmy jak dzieci, które weszły na krzesło i dumne są, że przewyższają o głowę dorosłych. Okoliczności kazały nam wspinać się na palce, lecz było to ponad nasze możliwości. Jeżeli brak doświadczenia sprawiał, iż pewne rzeczy skomplikowane nam wydawały się proste, to na odmianę rzeczy

bardzo proste zamieniały się w przeszkody nie do przezwyciężenia. Nigdy nie odważyliśmy się skorzystać z garsoniery Pawła. Nie wyobrażałem sobie, iż można, wsunąwszy parę groszy konsjerżce, wytłumaczyć jej, że będziemy przychodzili od czasu do czasu.

Pozostawał więc tylko hotel. Nigdy jeszcze nie byłem w hotelu. Perspektywa przekroczenia progu hotelowego przyprawiała mnie o drżenie.

Wyobrażałem sobie, że nawet przed boyem w jakimś podejrzanym hoteliku będę musiał się tłumaczyć. Dlatego też pod pretekstem, że będzie nam potrzebna bielizna i przybory toaletowe, zmusiłem Martę, by spakowała walizkę. Poprosimy o dwa pokoje. Wezmą nas za rodzeństwo. Nigdy nie odważyłbym się zażądać jednego pokoju, gdyż mój wiek (wiek, kiedy bywa się usuwanym z kasyna) narażał mnie na upokorzenia.

Podróż o jedenastej w nocy ciągnęła się w nieskończoność. W naszym przedziale były dwie osoby: jakaś pani odwoziła męża, kapitana, na Dworzec Wschodni. Przedział był nieogrzewany i nieoświetlony. Marta oparła głowę o wilgotną szybę. Poddawała się kaprynowi młodego okrutnika. Było mi wstyd i cierpiałem na myśl, o ile bardziej Jakub, taki zawsze czuły dla niej, zasługiwał na miłość niż ja.

Zacząłem usprawiedliwiać się szeptem. Potrząsnęła głową:

— Wolę być nieszczęśliwa z tobą — szepnęła — niż szczęśliwa z nim.

Oto jedno z wyznań miłosnych, które nic nie znaczą i które wstyd powtarzać, lecz gdy słyszymy je z ust istoty kochanej, upajają nas. Wydało mi się nawet, że rozumiem te słowa. Cóż jednak znaczyły w rzeczywistości? Czy można być szczęśliwym z kimś, kogo się nie kocha?

Zadawałem sobie pytanie i zadaję je sobie nadal, czy miłość daje nam prawo wydarcia kobiety jej losowi, przeciętnemu może, lecz spokojnemu? „Wolę być nieszczęśliwa z tobą...”; czy był to nieświadomy wyrzut? Ponieważ mnie kochała, Marta zaznała ze mną z pewnością chwil, których nigdy nie zaznała z Jakubem, lecz czy te chwile szczęścia dawały mi prawo do okrucieństwa?

Wysiedliśmy przy placu Bastylli. Zimno, które znoszę dobrze, gdyż uważam je za rzecz ze wszystkiego najczyściejszą, było w tym hallu dworcowym brudniejsze niż upał w porcie morskim, a za to pozabawione jego wesołości. Marta skarżyła się na skurcze. Przywarła do mego ramienia. Żalonna para, niepomna na swą urodę i miłość, przejęta wstydem, jak para żebraków.

Ciąża Marty wydawała mi się czymś śmiesznym. Szedłem ze spuszczonej oczami. Daleko mi było do dumy ojcowskiej.

W lodowatym deszczu błakaliśmy się między



placem Bastylli a Dworcem Lyońskim. Przed każdym hotelem wymyślałem jakiś marny pretekst, byle tylko nie wejść do niego. Mówiłem Marcie, że szukam czegoś przyzwoitego, hotelu dla podróżnych, tylko dla podróżnych.

Przy placu koło Dworca Lyońskiego trudno było wykręcać się dłużej. Marta domagała się, bym położył kres tej torturze.

Zostawiłem ją na ulicy, a sam wszedłem do hallu w jakiejś nieokreślonej nadziei. Portier zapytał, czy chcę pokój. Najprostszą rzeczą byłoby odpowiedzieć: „tak”. Było to zbyt proste; jak hotelowy złodziejaszek, przyłapany na gorącym uczynku, zacząłem szukać jakiegoś usprawiedliwienia i zapytałem, czy jest pani Lacombe. Zapytałem o to czerwieniąc się, w obawie że mi odpowie: „Czy pan sobie kpi, młody człowieku? Przecież czeka na pana na ulicy”. Portier przejrzał książkę hotelową. Musiałem pomylić się w adresie. Wszedłem i powiedziałem Marcie, że nie ma już wolnych pokoi i że w tej dzielnicy nigdzie ich nie znajdziemy. Odetchnąłem. Umykałem stąd jak złoczyńca.

Gnany idée fixe, która kazała mi uciekać od hoteli, do których wlokłem Martę, nie myślałem dotąd o niej. Dopiero teraz ją zobaczyłem. Siłą powstrzymałem łzy, a gdy zapytała, gdzie przenocujemy, zacząłem błagać, by nie miała żalu do nieszczęśnika i wróciła do domu, a ja wrócę do rodziców, bo tak

będzie najrozsądniej. „Nieszczęśnik! Najrozsądniej!” Uśmiechnęła się machinalnie słysząc te nie-stosowne słowa.

Mój wstyd udramatyzował powrót. Kiedy po tych wszystkich okrucieństwach Marta miała nie-ostrożność powiedzieć mi: „Jaki ty jednak byłeś niedobry!”, uniosłem się, oskarżałem ją o małoduszność. Jeżeli zaś, przeciwnie, milczała, jak gdyby puściła wszystko w niepamięć, ogarniał mnie lęk, że postępuje tak dlatego, iż uważa mnie za chorego, za szaleńca. Poty ją męczyłem, aż powiedziała wreszcie, że niczego nie puszcza w niepamięć, a jeżeli nawet mi wybacza, to nie powinienem jednak nadużywać jej dobroci; że kiedyś wreszcie, znużona moim postępowaniem, nie oprze się zmęczeniu silniejszemu nawet od miłości i opuści mnie. Ta stanowczość, którą na niej wymuszałem, budziła we mnie, choć nie wierzyłem w jej groźby, uczucie rozkosznego bólu, podobne do emocji, jakich doświadczamy jadąc górską kolejką w wesołym miasteczku, tyle że silniejsze. Rzuciłem się wówczas na Martę i całowałem ją namiętniej niż kiedykolwiek.

— Powtórz mi, że odejdziesz — mówiłem dysząc i ściskając ją w ramionach, jakbym miał ją zmiążyć.

Uległa już nawet nie jak niewolnica, lecz jak medium, powtarzała, żeby mnie zadowolić, słowa, których nic rozumiała.

Ta noc wędrówki od hotelu do hotelu okazała się decydująca, choć po tylu innych moich wybrykach nie zdałem sobie z tego jasno sprawy. O ile jednak ja nadal pozostawałem w przeświadczeniu, że można przekuśtykać tak przez całe życie, o tyle Marta — wciśnięta w kąt przedziału, wyczerpana, zgnębiona, szczękająca zębami — zrozumiała wszystko. Może pojęła nawet, że u kresu tej trwającej od roku szalonej podróży nie czekało nic innego oprócz śmierci.

Nazajutrz zastałem Martę w łóżku, jak zazwyczaj. Kiedy jednak chciałem położyć się koło niej, odsunęła mnie czule.

— Źle się czuję — powiedziała. — Nie podchodź do mnie, bo się zarazisz katarem.

Kasłała, miała gorączkę. Uśmiechając się, by nie wyglądało, iż robi mi wyrzuty, powiedziała, że pewnie musiała się przeziębic wczoraj. Mimo lęku nie pozwoliła mi pójść po doktora.

— To nic takiego — mówiła. — Wystarczy, jak poleżę w cieple.

W rzeczywistości nie chciała, wysyłając po doktora mnie właśnie, kompromitować się w oczach starego przyjaciela domu. Tak bardzo odczuwałem potrzebę otuchy, że odmowa Marty uspokoiła mnie. Niepokój powrócił jednak, i to wzmożony, gdy przed moim wyjściem na obiad Marta poprosiła, czy nie mógłbym nadłożyć drogi i zanieść list doktorowi. Przyszedłszy do Marty nazajutrz rano minąłem się z nim na schodach. Nie śmiałem o nic pytać i popatrzyłem na niego z lękiem. Jego spokój dodał mi odwagi: było to jednak tylko opanowanie zawodowe.

Wszedłem do Marty. Gdzie była? W sypialni nie było nikogo. Z głową ukrytą pod kołdrą Marta

plakała. Doktor kazał jej leżeć aż do rozwiązania. Co więcej, stan jej wymagał opieki; musi przenieść się do rodziców. Rozłączano nas.

Nieszczęście jest nie do przyjęcia. Tylko szczęście wydaje się rzeczą należną. Nie buntując się przeciw rozstaniu, nie dawałem wcale dowodu odwagi. Po prostu nie rozumiałem. Słuchałem, ogłupiały, orzeczenia lekarza, jak skazaniec słucha wyroku. „Co za odwaga!” — powiadają, jeżeli nie błędnie. Nic podobnego: to raczej brak wyobraźni. Kiedy budzą go przed egzekucją, wówczas dopiero słyszy wyrok. Tak samo i ja zrozumiałem, że nie będziemy się więcej widywać, dopiero wtedy, gdy powiedziano Marcie, że powóz przysłany przez doktora czeka. Lekarz obiecał jej, że nie da nikomu znać, gdyż Marta chciała zjawić się u rodziców bez uprzedzenia.

Kazałem zatrzymać powóz w pewnej odległości od domu Grangierów. Gdy stangret obejrzał się po raz trzeci, wysiedliśmy. Myślał, że przyłapuje nas na trzecim pocałunku. Tymczasem był to ciągle ten sam. Rozstałem się z Martą nie umówiwszy się wcale co do korespondencji, niemalże bez pożegnania, jak z kimś, kogo mamy zobaczyć za godzinę. W oknach widać było zaciekawione sąsiadki.

Matka zauważyła, że mam czerwone oczy. Siostry śmiały się, bo dwa razy z rzędu upuściłem łyżeczkę. Podłoga usuwała mi się spod nóg.

Cierpienie nie było dla mnie gruntem, po którym poruszałem się pewnie; czułem się jak na rozkołysanym statku. Wydaje mi się zresztą, że choroba morska jest najlepszym porównaniem dla tych zawrotów serca i duszy. Życie bez Marty to była długa podróż. Czy dobiję do brzegu? Tak jak przy pierwszych objawach choroby morskiej człowiek nie myśli o porcie, lecz chciałby umrzeć, nie zastanawiałem się na razie nad przyszłością. Dopiero po kilku dniach, gdy ból uciszył się nieco, mogłem pomyśleć o lądzie.

Rodzice Marty nie musieli się już niczego domyślać. Nie tylko przechwytywali moje listy. Palili je w sypialni córki na jej oczach. Listy Marty pisane były ołówkiem i ledwo czytelne. Jej brat wrzucał je do skrzynki.

Skończyły się sceny w domu. Wróciły dobre rozmowy z ojcem, przy kominku. Przez ten rok siostry odzwyczaiły się ode mnie. Teraz oswajały się, przywykały na nowo. Brałem młodszą na kolana i korzystając z półmroku ścisnąłem ją tak mocno, że wrywała się na wpół ze śmiechem, a na wpół z płaczem. Myślałem o moim dziecku, lecz byłem smutny. Wydawało mi się niemożliwe, bym kochał je bardziej niż rodzeństwo. Czy byłem dostatecznie dojrzały, by dziecko mogło być dla mnie czymś innym niż bratem lub siostrą?

Ojciec doradzał mi rozrywki. Takie rady podsuwa spokoj. Cóż mogłem robić prócz tego, czego nie miałem robić więcej? Na dźwięk dzwonka, turkot pojazdu wzdrygałem się. Uwięziony, wypatrywałem najmniejszego znaku uwolnienia.

Ponieważ stale łowiłem uchem dźwięki, które mogły coś zwiastować, pewnego dnia usłyszałem dzwony. Ogłaszały one zawieszenie broni.

Dla mnie oznaczało to powrót Jakuba. Wyobrażałem go sobie u wezglowia Marty, sam nie mając możliwości działania. Byłem zgubiony.

Ojciec jechał do Paryża. Chciał, żebym pojechał z nim razem: „Wstyd byłoby nie wziąć udziału w takim święcie”. Nie śmiałem odmówić. Bałem się, że wezmą mnie za potwora. A zresztą w moim oblędzie cierpienia nie miałem nic przeciw temu, by popatrzeć na radość innych.

Muszę przyznać, że nie wzbudziła we mnie wielkiej zazdrości. Miałem wrażenie, że tylko ja sam zdolny jestem do uczuć, które przypisuje się tłumowi. Szukałem patriotyzmu. Byłem może niesprawiedliwy, lecz dostrzegalem jedynie radość z nieoczekiwanego świętowania: kawiarnie otwarte dłużej niż zwykle, wojskowi swobodnie całujący midynetki. Spodziewałem się, że widowisko to zabolii mnie, rozjątrzy albo rozerwie, zarażając wzniosłością uczuć, a znudziło mnie jak zabawy w dniu Świętej Katarzyny.

Od paru dni nie dostałem żadnego listu. Któregoś z tych nielicznych popołudni, kiedy padał śnieg, bracia doręczyli mi wiadomość przyniesioną przez małego Grangiera. Był to lodowaty list od pani Grangier. Prosiła, bym przyszedł nie zwlekając. Czego mogła chcieć ode mnie? Możliwość pośredniego chociażby kontaktu z Martą zagłuszała niepokój. Wyobrażałem sobie, że pani Grangier zabroni mi widywać córkę, korespondować z nią, a ja będę słuchał tego ze spuszczoną głową, jak zły uczeń. Niezdolny do wybuchu, do gniewu, żadnym gestem nie objawię swej nienawiści. Ukłonię się grzecznie i drzwi tego domu zamkną się za mną za zawsze. I dopiero wówczas znajdę odpowiedzi, wykrętne argumenty, słowa tnące jak biczem, które mogłyby zostawić w pamięci pani Grangier obraz kochanka córki nie tak żaloszny jak obraz uczniaka przyłapanego na gorącym uczynku. Widziałem w myśli tę scenę.

Kiedy znalazłem się w saloniku, wydało mi się, że przeżywam na nowo pierwszą tu moją wizytę. Zapowiadała ona, że może nie zobaczę już Marty.

Weszła pani Grangier. Zrobiło mi się żal, że jest taka niska, gdyż koniecznie starała się być wyniosła.



Przeprosiła mnie za zbyt liczne wezwania. Twierdziła, że chciała się ode mnie dowiedzieć czegoś zbyt skomplikowanego, by o tym pisać, lecz w międzyczasie zdobyła tę informację. Ta bezsensowna tajemnica zgnębiła mnie bardziej niż jakaś katastrofa.

Niedaleko Marny spotkałem małego Grangiera opartego o ogrodzenie. Dostał śniegową kulą prosto w twarz. Popłakiwał. U tuliłem go i zacząłem wypytywać o siostrę. Marta chciała mnie zobaczyć, powiedział. Matka za nic się na to nie zgadzała, lecz ojciec przeciął: „Marta jest bardzo chora, żądam, by jej posłuchano”.

W jednej chwili pojąłem mieszczańskie i dziwaczne postępowanie pani Grangier. Wezwała mnie przez szacunek dla męża i dla woli umierającej córki. Kiedy jednak alarm minął i stan Marty się poprawił, zakaz znów nabrał mocy. Powinienem był się ucieszyć. Żałowałem, że pogorszenie nie trwało tak długo, bym zdążył zobaczyć chorą.

W dwa dni później dostałem list od Marty. Nie wspominała o mojej wizycie. Widocznie zatajono ją przed nią. Mówiła o naszej przeszłości tonem szczególnym, pogodnym, niebiańskim, który mnie poruszył. Może to prawda, że miłość jest najgwałtowniejszą formą egoizmu, gdyż szukając przyczyny tego poruszenia doszedłem do wniosku, że jestem zazdrosny o nasze dziecko, o którym Marta pisała mi dziś więcej niż o mnie samym.

Spodziewaliśmy się go w marcu. Któregoś piątku w styczniu bracia zjawili się w domu zadyszani i oznajmili, że mały Grangier ma siostrzeńca. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ogłosili to z takim triumfem ani też dlaczego tak biegli. Nie wiedzieli przecież, jak zaskakująca będzie dla mnie ta nowina. Lecz wujem, według moich braci, mógł być tylko dorosły. Fakt, że mały Grangier został wujem, graniczył z cudem i przybiegli podzielić się z nami swym zdumieniem. Przedmiot, który stale mamy przed oczami, najtrudniej jest nam poznać, gdy nagle zmieni położenie. Nie od razu uświadomiłem sobie, że siostrzeniec małego Grangiera to dziecko Marty — moje dziecko.

Na własnej osobie doświadczyłem teraz zamętu, jaki może spowodować krótkie spięcie w miejscu publicznym. Nagle zrobiło się we mnie ciemno. W tej ciemności uczucia potraçały się nawzajem; szukałem siebie, szukałem po omacku dat, faktów. Liczyłem na palcach, tak jak nieraz Marta — tylko że wtedy nie budziło to we mnie podejrzeń. To ćwiczenie na nic się zresztą nie zdało. Nie umiałem już liczyć. Kim było to dziecko, którego oczekiwaliśmy w marcu, a które urodziło się w styczniu? Jedyne wyjaśnienie, jakie znajdowałem dla tej anomalii, podsuwała mi zazdrość. Byłem już pewien. To było dziecko Jakuba. Przyjechał na urlop dziewięć miesięcy

temu. Więc od tej pory Marta kłamała. Zresztą skłamała od razu. Przysięgała mi, że w ciągu tych nieszczęsnych dwóch tygodni nie pozwoliła Jakubowi zbliżyć się do siebie, a potem przyznała się, że posiadał ją wówczas kilka razy.

Nigdy nie myślałem poważnie, że to dziecko może być dzieckiem Jakuba. Jeżeli nawet w początkach ciąży Marty pragnąłem tchórzliwie, by tak było, to dzisiaj uświadomiłem sobie, że jestem jak człowiek, który stanął wobec rzeczy nieodwracalnej – kołysany przez tyle miesięcy pewnością ojcostwa, pokochałem to dziecko, to dziecko, które nie było moim dzieckiem. Dlaczegoż musiało tak być, że miłość ojcowska odezwała się we mnie dopiero w chwili, kiedy dowadywałem się, że nie jestem ojcem!

Czułem straszliwy zamęt, byłem jak ktoś, kto nie umie pływać i nagle w ciemności zostanie wrzucony do wody. Nic już nie rozumiałem. Najmniej ze wszystkiego pojmowałem zuchwałość Marty, która temu prawowitemu dziecku dała moje imię. Chwilami wydawało mi się, że jest to wyzwanie rzucone losowi, który nie zechciał, by to dziecko było moje; chwilami zaś widziałem w tym po prostu nietakt, brak smaku, który często raził mnie u Marty, a wy-  
pływał po prostu z nadmiaru miłości.

Zacząłem list z obelgami. Uważałem, że nakazuje mi to moja godność. Lecz słowa nie przychodziły, gdyż myślą byłem gdzie indziej, w szlachetniejszych rejonach.

Podarłem list. Napisałem inny, w którym dopuściłem do głosu serce. Prosiłem Martę, żeby mi przebaczyła. Co przebaczyła? To, że jej syn jest synem Jakuba. Błagałem, żeby mimo to nie przestała mnie kochać.

Człowiek bardzo młody jest zwierzęciem opornym wobec cierpienia. Zaczynałem już przystosowywać się do nowych okoliczności. Godziłem się niemal na to cudze dziecko. Zanim jednak skończyłem pisać, dostałem list od Marty, przepelniony radością. — Synek był nasz, urodził się o dwa miesiące za wcześnie. Musi leżeć w inkubatorze. „Byłam bliska śmierci” — pisała Marta. Rozbawiło mnie to jak żart.

Gdyż było we mnie miejsce tylko na radość. Miałem ochotę powiadomić o tych narodzinach cały świat, powiedzieć moim braciom, że oni też są wujami. Z radością pogardzałem sobą: jak mogłem wątpić w Martę? Skruszony i szczęśliwy, kochałem ją bardziej niż kiedykolwiek, mego syna także. Sam już nie wiedząc, czego chcę, błogosławiłem początkową omyłkę. W sumie byłem rad, że na parę chwil poznałem cierpienie. Tak przynajmniej mi się wydawało. Nic nie jest jednak odleglejsze od samej

rzeczy niż to, co jest jej bardzo bliskie. Człowiekowi, który omal nie umarł, wydaje się, że zna śmierć. W dniu, kiedy staje z nią wreszcie oko w oko, nie poznaje jej. „To nie ona” — powiada umierając.

W swym liście Marta pisała mi jeszcze: „Jest do ciebie podobny”. Widywałem noworodki, moich braci i siostry, i wiedziałem, że tylko kobieta zakochana może się w nich dopatrzeć upragnionego podobieństwa. „Ma moje oczy” — dodawała. I tu także tylko pragnienie, by ujrzeć nas zespolonych w jednej istocie, mogło sprawić, że odkryła podobieństwo oczu.

Państwo Grangier nie mieli już żadnych wątpliwości. Złorzeczyli Malcie, lecz współdziałali z nią, w obawie by skandal nie „okrył hańbą” rodziny. Lekarz, druga podpora ładu, ukrył, że poród był przedwczesny, i podjął się wymyślić jakąś bajeczkę, by wytłumaczyć mężowi konieczność użycia klosza.

Przez następne dni milczenie Marty wydawało mi się naturalne. Prawdopodobnie Jakub był przy niej. Żaden z jego urlopów nie sprawił mi mniejszej przykrości niż ten, przyznany biedakowi z racji narodzin syna. W ostatnim podrygu dziecinnej zdziorności uśmiechałem się nawet na myśl, że to mnie zawdzięcza urlop.

Nasz dom oddychał spokojem.

Prawdziwe przecucia formują się w głębiach niedostępnych dla myśli. Czasem popychają nas do czynów, które tłumaczymy sobie na opak.

Wydawało mi się, że złagodniałem, bo jestem szczęśliwy, i cieszyłem się, że Marta znajduje się w domu, który stał się dla mnie fetyszem, bo wiązały się z nim szczęśliwe wspomnienia.

Człowiek o nieuporządkowanym życiu, który nie przeczuwa, że niedługo umrze, usatkwkuje się nagle. Zaczyna żyć inaczej. Porządkuje papiery. Wcześniej wstaje i wcześniej kładzie się spać. Wyrzeka się swych wad. Otoczenie się cieszy. Toteż śmierć wydaje się tym bardziej niesprawiedliwa. Żyłby teraz przecież szczęśliwie.

Tak samo i spokój, który zapanował w moim życiu, był tylko szatą skazańca. Myślałem, iż dlatego jestem lepszym synem, że i ja mam syna. Tymczasem zaś okazywałem rodzicom więcej serca dlatego, iż coś we mnie wiedziało już, że niedługo sam będę ich serca potrzebował.

Któregoś dnia bracia wrócili w południe ze szkoły wołając, że Marta nie żyje.

Śmierć od pioruna jest tak szybka, że człowiek nie cierpi. Lecz dla świadków jest to smutne

widowisko. Ja nie czułem nic, ale twarz mego ojca zmieniła się nie do poznania. Wypchnął braci: „Idźcie stąd — wyjąkał. — Co wy wygadujecie, co wy wygadujecie”. Miałem wrażenie, że twardnieję, stygnę, zamieniam się w kamień. Następnie, tak jak w jednej sekundzie jawi się przed oczami umierającego całe jego życie, tak moja miłość stanęła przede mną ze wszystkim, co w niej było monstrualnego. Ponieważ ojciec płakał, szlochałem. Wówczas wzięła mnie w ręce matka. Bez łez, zajęła się mną chłodno, troskliwie, jakby to chodziło o szkarlatynę.

Zemdlałem; to usprawiedliwiało w oczach moich braci milczenie, jakie w pierwszych dniach zapanało w domu. Później jednak przestali rozumieć. Nigdy nie wzbraniano im hałaśliwych zabaw. Sami zachowywali teraz ciszę. W południe, gdy słyszałem ich kroki w sieni, traciłem przytomność, jakby za każdym razem mieli mi przynieść wiadomość o śmierci Marty.

Marta! Zazdrosny o nią i w grobie, pragnąłem, żeby nie było nic po śmierci. Trudno jest pogodzić się, że osoba, którą kochamy, znajduje się w liczonym towarzystwie i weseli się bez nas. Moje serce było w wieku, kiedy nie myśli się o przyszłości. Tak, właśnie nicości pragnąłem dla Marty, a nie nowego świata, w którym spotkałbym ją kiedyś.

Raz tylko zobaczyłem Jakuba; było to w parę miesięcy później. Wiedząc, że mój ojciec ma parę akwarel Marty, chciał je obejrzeć. Łakniemy wszystkiego, co wiąże się z ukochaną osobą. Zapra-  
gnąłem zobaczyć człowieka, któremu Marta oddała rękę.

Wstrzymując oddech i stąpając na palcach pod-  
szedłem do uchylonych drzwi. Usłyszałem słowa:

— Moja żona umarła wymawiając jego imię.  
Biedne dzieciątko. To jedyny cel mojego życia.

Widząc tego wdowca, który z taką godnością pa-  
nował nad rozpaczą, zrozumiałem, iż wszystko z  
czasem samo powraca do ładu. Czyż nie dowiedzia-  
łem się przed chwilą, że Marta umarła wymawiając  
moje imię i że życie mego syna ułoży się normal-  
nie?



